

## Szczęśliwa trzynastka

⇒ [Małgorzata Muraszko](#)

**Sześć krajów, sześć języków, jeden region – bałtycki. Dla Literackiego Sopotu trzynastka wcale nie jest pechowa.**

Trzynastka często uważana jest za liczbę pechową. Za nie-szczęśliwą uznawali ją starożytni Egipcjanie, Rzymianie uważali ją za symbol śmierci i zniszczenia, Vladimir Nabokov napisał *Feralną trzynastkę*, a Thomas Lawson *Friday, the Thirteenth*. Nie mówiąc już o serii amerykańskich slasherów *Piątek, trzynastego*. Trzynastka nie ma dobrej passy. Ale Literackiemu Sopotowi udało się to zmienić. Tegoroczna, trzynasta właśnie, edycja poświęcona była literaturze i kulturze krajów bałtyckich. A było ich aż sześć: Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia, Dania i Szwecja. Nigdy aż tyle krajów jednocześnie, i tyle języków jednocześnie, nie brało udziału w jednej edycji festiwalu. Tegoroczna edycja była więc szczęśliwą edycją.

Szczęśliwą dla wielu naszych gości. Pisarze i pisarki nie mogli nachwalić się gościnności, otwartości i ciekawości czytelników i czytelniczek. „Nie spodziewałem się zupełnie, że tyle osób w Polsce zna moją powieść, przyjdzie na spotkanie i będzie chciało ze mną o niej rozmawiać” – mówił mi fiński pisarz Juhani Karila, autor *Polowania na małego szczupaka* (wyd. Marpress, przeł. Sebastian Musielak). Na spotkaniu z nim sala pękała w szwach, po autografy też ustawiała się spora kolejka. *Skarbeniek* łotewskiej pisarki Ingi Gaile (wyd. Marpress, przeł. Daniel Łubiński) premierę miał na festiwalu Literacki Sopot, w dniu spotkania z pisarką. „Jestem szczerze zaskoczona, że tej książki jeszcze nikt nie zdążył przeczytać, a już na spotkanie przyszli czytelnicy o niej porozmawiać. I nie bali się zadawać pytań” – powiedziała mi Gaile, gdy chwilę towarzyszyłam jej przy sesji rozdawania autografów.

Nie była to jedyna tego typu sytuacja. „Już nie chciałam kupować kolejnych książek, obiecałam sobie. Ale spotkanie było tak interesujące, książka wydała się tak ciekawa, że po prostu musiałam to zrobić” – powiedziała mi Ania, która od kilku lat przyjeżdża na festiwal. Inna znajoma, Paula, po spotkaniu z fińską pisarką Laurą Lindstedt poszła po jej książkę *Oneiron* (Wydawnictwo Poznańskie, przeł. Sebastian Musielak), niezwykłą opowieść o siedmiu kobietach, które spotykają się w zaświatach. I tak to właśnie w tym Sopocie jest: nawet jak się już nie chce, już nie może, to po te książki zawsze się człowiek wróci. Tym bardziej, że literatura krajów bałtyckich wciąż jest w Polsce terenem nieznanym. Dobrze jest więc poznać swoich sąsiadów, z którymi łączy nas Bałtyk, ale mamy też podobne

charaktery, obyczaje czy nawet niektóre żywieniowe przyzwyczajenia.

Sopocy goście bardzo docenili klimat miasta i festiwalu. Niezobowiązującą atmosferę, piękną pogodę (szczęśliwie w tym roku także dopisała!) i ogromne zaangażowanie czytelników i czytelniczek. Na spotkaniach sale były pełne, uczestnicy aktywni i gotowi do rozmowy. Do tego stopnia, że niektóre spotkania się przedłużały, bo rozmowy były tak pasjonujące. A z innych trzeba było wyjść wcześniej, żeby zdążyć na kolejne.

Tak aktywni, świadomi i zaangażowani czytelnicy to skarb. Wiele twarzy widziałam na festiwalu już po raz kolejny. Było też wielu takich gości, którzy przyjechali pierwszy raz i obiecali wrócić za rok. A będzie na co wracać, bo w 2025 roku przygotowujemy dla państwa edycję poświęconą literaturze i kulturze Rumunii.

Teraz oddaję państwu pofestiwalowy numer gazetki *Literackiej*, a w niej rozmowy z gośćmi i gościniami festiwalu, relacje ze spotkań i debat. To jedynie namiastka tego, co podczas czterech dni w kurorcie się wydarzyło. Jeśli chcą państwo nadrobić zaległości, zapraszamy na kanały Goyki 3 na YouTube i Spotify, tam znajdują państwo zapisy audio i wideo z tegorocznych spotkań.



fot. Bogna Kociumbas-Kos

## Kraina sponiewierana, zgwałcona i zabita

### O spotkaniu z Alvydasem Šlepiką, autorem powieści *Mam na imię Marytė*

⇒ [Filip Fierek](#)

**Ta historia to jak brakujący rozdział *Wojenki* Magdaleny Grzebałkowskiej. Dotknęła tysięcy dzieci, ale przez długi czas o tym nie mówiono, temat pozostawał nierozpoznany przez historyków, a tym bardziej nie przedarł się do świadomości społecznej.**

Chodzi o los tak zwanych wilczych dzieci, które pod koniec II wojny światowej, po wkroczeniu Armii Czerwonej na teren Prus Wschodnich, straciły rodziny i tułały się po lasach w poszukiwaniu jedzenia i dachu nad głową. Te nieosierocone wielokrotnie wędrowały na Litwę i przynosiły pożywienie rodzicom, którzy nie ewakuowali się z terenu Warmii i Mazur.

#### **Na Litwie rośnie świadomość**

Wilczym dzieciom poświęcona jest powieść *Mam na imię Marytė* Alvydasa Šlepikasa, gościa bałtyckiej edycji festiwalu Literacki Sopot. Spotkanie z autorem poprowadziła krytyczka literacka Paulina Małochleb, która pytała go między innymi o dalsze losy sierot z Prus Wschodnich.

O ile w powieści Šlepikasa skupia się na Marytė, tytułowej bohaterce, która tułała się po Litwie w poszukiwaniu jedzenia, o tyle podczas rozmowy opowiadał o różnych scenariuszach rozwoju wypadków, jakie były udziałem ofiar radzieckiej kontrofensywy. Część dzieci trafiła pod opiekę litewskich gospodarzy, którzy karmili je w zamian za pomoc na roli i ostatecznie adoptowali. Część trafiła w końcu do sierocińców, a następnie do Niemiec. Niektóre do dziś szukają swoich niemieckich krewnych.

Podczas spotkania Šlepikas opowiadał o rosnącej świadomości istnienia wilczych dzieci na Litwie i instytucjonalnych staraniach o uznanie ich cierpienia. Jego



powieść trafiła na listę lektur szkolnych w kraju, a on sam, po napisaniu *Mam na imię Maryté* uznany za propagatora wiedzy o tej grupie ofiar wojny, jest często zapraszany do szkół i bibliotek, by pielęgnować pamięć o „Krainie sponiewieranej, zgwałconej i zabitej”, o „poważnych Prusach”.

» [Spotkanie z Alvydasem Šlepikasem prowadziła Paulina Małochleb. Z i na język litewski tłumaczyła Paulina Ciucka, na polski język migowy tłumaczyli Elżbieta i Paweł Żurawscy. Spotkanie można obejrzeć na Kanale Goyki 3 na YouTube, natomiast zapis audio w formie podcastu można odsłuchać na Kanale Goyki 3 na Spotify.](#)



Spotkanie z Alvydasem Šlepikasem, fot. Bogna Kociumbas-Kos

## Bufet tożsamości

⇒ [Anna Nicz](#)

**„Przez całe życie miałem wrażenie, że nie mogę wpływać na siebie. Cierpiałem z powodu rasizmu. Najgorszym tego skutkiem jest przekleństwo niskich oczekiwań” – mówił Pajtim Statovci podczas spotkania prowadzonego przez Aleksandra Hudzika. Urodzony w Kosowie i wychowany w Finlandii pisarz opowiadał nie tylko o swojej świetnej książce *Niewidzialni*. Mówił też o sobie, o poszukiwaniu tożsamości człowieka w pewnym sensie tej tożsamości pozbawionego.**

Urodzony w 1990 roku w Kosowie Pajtim Statovci nie mieszkał tam długo. W 1992 roku, krótko po wybuchu konfliktów zbrojnych na terenach byłej Jugosławii, wyjechał z rodziną do Finlandii. Wszystkie trzy powieści, które napisał do tej pory, są mocno powiązane z jego życiorysem.

Najnowsza powieść *Niewidzialni* (tytuł oryginalny *Bolla*) opowiada o zakazanym uczuciu, które łączy Arsim, młodego studenta z Prisztiny, oraz Serba Miloša. Jak się okazuje, oryginalny tytuł książki ma tu szczególne znaczenie. Bolla oznacza magiczną postać przypominającą węzła, którą Statovci zna z bałkańskiej mitologii.

„Wąż pojawiał się w tych opowieściach jako zła istota. W pierwotnej historii bolla wydostaje się z więzienia i po raz pierwszy w życiu może robić to, co chce: może zabijać, mordować, może powodować panikę, straszyć” – wyjaśniał na spotkaniu autor.

Jak przyznał, w pewnym momencie zaczęło mu być żal postaci, która większość swojego istnienia spędzała w ciemności, w zamknięciu. „To metafora głównych postaci w książce. Bohaterowie muszą się ukrywać, nie mogą pokazać swojej twarzy innym” – podkreślał. Bolla jest też metaforą uczucia, które łączy dwóch głównych bohaterów powieści.

### Przekleństwo niskich oczekiwań

„Pytanie dotyczące tożsamości męczyło mnie przez całą moją historię bycia pisarzem” – przyznał Pajtim Statovci. „Ludzie bardzo często zakładają, że osoby takie jak ja mogą tak zupełnie bez żadnego problemu wybrać sobie tożsamość – albo serbską albo fińską”. Autor, który dorastał w środowisku wielokulturowym, w otoczeniu różnych języków zauważył, że wcale nie miał wolności wyboru tożsamości. „To było zawsze narzucone przez kogoś innego. Zawsze ktoś określał mnie poprzez poglądy serwowane młodemu człowiekowi”. „Czasami nie byłem w stanie wybrać z tego bufetu moich tożsamości. Dlatego napisałem o nich w moich książkach” – podkreślił. „Przez całe życie miałem wrażenie, że nie mogę wpływać na siebie. Cierpiałem z powodu rasizmu. Najgorszym tego skutkiem jest przekleństwo niskich oczekiwań”. Jak mówił, w takiej sytuacji człowiek zaczyna myśleć, że nie jest tak inteligentny i zdolny jak inni; nie może mierzyć tak wysoko jak reszta.

### Arsim i małe, ciasne pomieszczenia

Książka *Niewidzialni* nie oferuje czytelnikom i czytelniczkom łatwych rozwiązań. Dla autora dużym wyzwaniem było znalezienie głosu dla głównego bohatera. „Nie jest to zbyt sympatyczny człowiek. Często podejmuje moralnie dwuznaczne decyzje w wyniku wychowania opartego na przemocy” – mówił Statovci podczas spotkania w Sopocie.

Wybory głównych bohaterów *Niewidzialnych* są nieoczekiwane. Na przykład, gdy Arsim spokojem reaguje na więzienie. „Wreszcie ma trochę miejsca dla siebie. Można sobie tutaj wyobrazić, że jeżeli przez całe życie ktoś był więźniem samego siebie, nie mógł nawet na chwilę się uwolnić, wypluć na powierzchnię, a wszystkie społeczne zobowiązania okrutnie mu ciążyą, więzienie wydaje się wolnością” – tłumaczył autor. „Arsim tylko w tych małych, ciasnych pomieszczeniach potrafi przyznać przed samym sobą, kim tak naprawdę jest”.

» [Spotkanie z Pajtimem Statovcim prowadził Aleksander Hudzik. Na i z języka fińskiego tłumaczyli je Kamil Krzywicki i Bolesław Ludwiczak. Na polski język migowy tłumaczyli Elżbieta i Piotr Żurawscy. Spotkanie można obejrzeć na Kanale Goyki 3 na YouTube oraz odsłuchać w formie podcastu na Kanale Spotify Goyki 3.](#)



Spotkanie z Pajtimem Statovcim, fot. Bogna Kociumbas-Kos



# W poszukiwaniu językowej sprawiedliwości

⇒ [Justyna Grochal](#)

**„To wszystko sprowadza się do tego, by słuchać swojego otoczenia i podchodzić do osób i tekstów z wrażliwością. Żeby dostosowywać to, co robimy, do realiów” – mówiła tłumaczka Aga Zano podczas debaty *O języku włączania*.**

W programie tegorocznej edycji Literackiego Sopotu znalazła się między innymi debata *O języku włączania* z udziałem Agi Zano, tłumaczki i członkini Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury, Jacka Giszczaka, polonisty i tłumacza, oraz Filipa Fierka, redaktora i współzałożyciela Wydawnictwa Drzazgi. Spotkanie poprowadziła autorka i dziennikarka Dagny Kurdwanowska.

„Myślę, że śledzić je [dyskusje dotyczące zmian w języku] powinna każda redaktorka i każdy redaktor, który bierze swoją pracę na poważnie. Język jest tworem żywym, ewoluuje, dostosowuje się do oczekiwań użytkowników i użytkowniczek, reaguje na zmiany społeczne i kulturowe” – mówił Filip Fierek zapytany przez prowadzącą, czy dyskusje wokół zjawisk językowych w kontekście choćby używania feminatywów czy neutratywów wpływają na pracę redaktorów/ek i tłumaczy/ek. Jak zauważył, społeczna akceptacja dla bardziej inkluzywnego podejścia do języka rośnie, ale wciąż wiele jest do zrobienia w tym temacie.

## Język płci

Jacek Giszczak, tłumacz literatury francuskiej i frankofońskiej, podzielił się francuską perspektywą na dynamikę zmian językowych. Przywołał stanowisko Akademii Francuskiej, która od XVII wieku stoi na straży poprawności językowej. Jak się okazuje, jest przeciwna stosowaniu feminatywów, twierdząc, że to „śmiertelne zagrożenie dla języka francuskiego”. We Francji ostatnią reformę językową wprowadzono w XIX wieku. Choć rośnie tam akceptacja dla języka włączającego, wciąż wiele nowych form, takich jak choćby neutralny zaimek osobowy „iel”

utworzony przez połączenie zaimków męskiego i żeńskiego, budzi sprzeciw części społeczeństwa.

Zajmująca się przekładami z języka angielskiego Aga Zano zwróciła uwagę na różnicę w podejściu do feminatywów wśród osób anglojęzycznych, która wynika z odmiennych struktur językowych dotyczących płci. „Język angielski jest ze swojej natury językiem nieupłciowionym” – mówiła tłumaczka. „Kiedy używamy feminatywu w języku angielskim, to przez to, że mówimy to w języku, który tak bardzo ukrywa płęć, tak naprawdę ją podkreślamy. Mówimy na przykład „kobieta, która jest aktorem”. Wtedy przestajemy używać feminatywu w tym sensie, w którym używamy go po polsku”.

Zano podkreśliła, że decyzje dotyczące używania bądź nie feminatywów są zwykle uzależnione od kontekstu. „Poszukiwanie równości i sprawiedliwości językowej bywa różne, w zależności od tego, kto mówi. Nie tylko na przestrzeni różnych języków, ale też w ramach jednego języka. Dlatego bardzo trudno jest sprowadzać odpowiedzi do prostych recept” – stwierdziła tłumaczka. Giszczak z kolei zwrócił uwagę, jak bardzo język polski jest nacechowany płciowo, dużo bardziej niż francuski, w którym osoba czytająca często nie jest w stanie zorientować się, jakiej płci jest osoba bohatera tekstu. „W każdym czasowniku polskim jest zawarta płęć – poszłam, poszedłem. Każda forma jest nacechowana. We francuskim czasie są najczęściej obojętne na płęć” – mówił tłumacz.

## Empatia

„To bardzo istotne, gdy mówimy o języku inkluzywnym, żeby brać pod uwagę empatię. Według mnie język inkluzywny ma nie tyle zaznaczać różnice, mówić, że ktoś jest inny, i na tym poprzestawać, ile stanowić próbę budowania wspólnoty w poprzek tego podziału, różnicy. Albo wbrew tej różnicy. Jednak szukać wspólnego pola interesu” – podkreślił Filip Fierek.

Zano i Giszczak mówili również o twórczej pracy, jaką wykonują tłumacze i tłumaczki. O tym, że to czasem „stawanie na głowie”, by przełożyć opowieść z jednego języka na drugi, zachowując sens. „Bardzo często musimy dostosowywać to, co robimy, do bardzo wielu czynników zewnętrznych. Nigdy nie będzie na to jednego sposobu i przepisu” – podkreśliła Aga Zano. „To wszystko sprowadza się do tego, by słuchać swojego otoczenia i podchodzić do osób i tekstów z wrażliwością. Żeby dostosowywać to, co robimy, do realiów”.

Tłumaczka zwróciła przy tym uwagę na istotną kwestię uszanowania woli konkretnej osoby, o której się pisze czy mówi.

## Uczciwość

Giszczak i Zano, nawiązując do przykładów ze swojej pracy, podkreślali, jak ważne jest, by podczas tłumaczenia na nowo starszych tekstów zachować uczciwość wobec przeszłości. Tłumacz przypomniał opublikowany kilka lat temu w „Le Monde” artykuł, w którym francuskojęzyczny pisarz Dany Laferrière stanął w obronie słowa *negre* (pol. czarnuch) w imię historii. „Stawia w nim taką tezę: zlikwidujemy to słowo, a potem zapomnimy, że istniał taki podział” – zaznaczył tłumacz.

Filip Fierek, który redagował część nowych przekładów książek Ernesta Hemingwaya wydawanych przez Wydawnictwo Marginesy, odniósł się do prób wyeliminowania słowa Murzyn z nowych przekładów i zastępowania go bardziej poprawnym politycznie określeniem, nazywając to „redukowaniem kontekstu kulturowego, w jakim dana proza powstała”.

Z tych samych powodów Aga Zano, która tłumaczyła opowiadania Sylvii Plath, nie zgodziła się na zastępowanie postrzeganych dziś jako obraźliwe i niepoprawne politycznie określeń innymi. „Sylvia Plath w języku używała tych słów, które były standardowe dla jej czasów” – przekonywała tłumaczka, dodając, że w jej opinii zastępowanie takich wyrażen nowymi byłoby nieuczciwe zarówno wobec osób dyskryminowanych, jak i tych, które w przeszłości walczyły o zmianę i równość.

„To, że my teraz nie będziemy w tekście sprzed 70 lat używać obraźliwych słów, nie jest żadną uczciwością wobec tych osób, tylko plasterkiem na nasze własne sumienie” – dodała Zano. Jej zdaniem wygładzanie w ten sposób języka może prowadzić do tworzenia alternatywnej rzeczywistości bez dyskryminacji. Według niej teksty sprzed lat należy traktować jako dokumenty historyczne. „Nie wolno ich zmieniać, bo to przekłamywanie rzeczywistości. Nie robię tego nie dlatego, że Kocham słowa, które obrażają ludzi, tylko że mamy obowiązek pamiętać, jak tych ludzi traktowano również w języku” – mówiła.

» [Debatę \*O języku włączania\* z udziałem Agi Zano, Filipa Fierka i Jacka Giszczaka poprowadziła Dagny Kurdwanowska. Spotkanie na polski język migowy tłumaczyły Karolina Bocian i Marta Jaroń. Debatę można obejrzeć na kanale Goyki 3 na YouTube oraz odsłuchać w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3.](#)

”

*To bardzo istotne, gdy mówimy o języku inkluzywnym, żeby brać pod uwagę empatię.*



Debata *O języku włączania* z udziałem Agi Zano, Filipa Fierka i Jacka Giszczaka, fot. Bartosz Bańka

# Wszelka tożsamość powstaje z rozpadu

## O spotkaniu z Dorthe Nors, autorką książki *Stone łąki. Wybrzeże Morza Północnego*

⇒ Filip Fierek

**Czy krajobraz, pośród którego dorastaliśmy, jest nie do wymazania z pamięci i trwa w nas bez względu na to, jakie starania byśmy podejmowali, by o nim zapomnieć? Jaką funkcję pełni w naszym życiu pejzaż czasów dzieciństwa? Funkcjonuje jako daleki powidok, jako obraz po części zmyślony, bo zapośredniczony przez późniejsze doświadczenia, jako fantom, który więcej ma z fikcji niż z prawdy? Czy gdy wracamy po latach do miejsca urodzenia i chodzimy po swoich dawnych śladach, odtwarzając geografie młodości – czy wówczas rzeczywiście wracamy do siebie, czy też w miejsce już nam obce, bo my sami staliśmy się inni?**

Wokół tych pytań krążyła rozmowa, którą z Dorthe Nors, autorką książki *Stone łąki. Wybrzeże Morza Północnego*, przeprowadziła w ramach festiwalu Literacki Sopot dziennikarka „Gazety Wyborczej” Joanna Wiśniowska.

### Krajobraz jest tożsamością

*Stone łąki* to poetycki esej poświęcony wschodniemu wybrzeżu Jutlandii, gdzie Nors się urodziła i dokąd po latach nomadycznego życia powróciła, bo nigdzie indziej

– jak wyznaje w książce – nie czuła się do końca u siebie. Z jednej strony powrót oznaczał bolesną rezygnację z miasta. Nors tak pisze o walorach wielkomiejskiego życia: „Potrzebuję różnorodności, rozmów, bycia niewidoczną, potrzebuję mieszkających tam [w mieście – przyp. F.F.] ludzi”. Z drugiej strony stawką było jednak „własne miejsce”, „przestronne, spokojne miejsce, do którego będę mogła wracać”, „punkt wyjścia, gdzie nie muszę koniecznie znać wszystkich nazwisk na nagrobkach, ale gdzie będę rozpoznawać światło, zapachy, znaczenie kierunku wiatru i gdzie wszystko, co jest nieuchwytnie, tworzy opowieść i nabiera cech wieczności”.

Podczas rozmowy Nors przyznała, że surowy krajobraz Jutlandii stanowi konstytutywny element jej tożsamości jako osoby i jako pisarki. Stąd też była w niej narastająca z upływem lat potrzeba, by budzić się w miejscu z rozległym horyzontem, spacerować w przenikliwym wietrze, doświadczać niepokornego żywiołu natury.

### Napisane z czułością

Jednym z najbardziej interesujących wątków rozmowy Nors i Wiśniowskiej była kwestia roli, jaką literatura może lub powinna odgrywać w ochronie dziewiczych, niezaniekutowanych jeszcze przez cywilizację miejsc na ziemi i w walce z katastrofą klimatyczną. Autorka *Stonych łąk*, zapytana o prowokacyjny blurb Filipa Springera na okładce polskiego wydania książki, w którym reporter wzywa, by za wszelką cenę, nawet kosztem literatury, zachowywać takie miejsca w tajemnicy, stwierdziła, że w pierwszym rzędzie potrzebne są systemowe rozwiązania chroniące przed ekspansją turystyki i kapitalizmu.

Literatura jako medium – szczególnie taka, jaką pisze Nors, kameralna, powstała z miłości do opisywanej przestrzeni – służy bowiem pogłębieniu wrażliwości i empatii. Jeśli Nors, która jasno przyznaje, że nie jest aktywistką, mogłaby przysłużyć się jakoś planecie, to właśnie, co sama potwierdza, w taki sposób: pisząc z czułością o miejscu, które nazywa swoim domem.

» [Spotkanie z Dorthe Nors prowadziła Joanna Wiśniowska. Z i na język duński tłumaczyły Dorota Rozmarynowska i Agnieszka Świerk, na polski język migowy tłumaczyli Michał Drzewek i Kamila Skalska. Spotkanie można obejrzeć na kanale Goyki 3 na YouTube, natomiast zapis audio w formie podcastu można odsłuchać na kanale Goyki 3 na Spotify.](#)

# Konkret dla dobra sztuki

⇒ Julia Kapała

**„Pisarz to prywatna firma, wydawnictwo to prywatna firma, a czytelnik w dniu premiery może za darmo wypożyczyć książkę z biblioteki. Przecież nie możemy chodzić do kina za darmo na polskie filmy” – mówił Zygmunt Miłoszewski podczas gorącej debaty tegorocznego festiwalu Literacki Sopot.**

To nie miała być debata tylko o niedoli. Plan był następujący: 15 minut narzekania, potem 30 minut szukania rozwiązań, a na koniec dyskusja. Wszystko podlane czarnym humorem, bez którego, jak się okazuje, nie sposób dyskutować o losie literatów w Polsce.

### Czym właściwie jest honorarium

W tym roku Parafia Ewangelicko-Augsburska po raz trzeci stała się miejscem spotkań i dyskusji podczas Literackiego Sopotu. W piątkowy wieczór Kościół wypełnił się po brzegi. Temat debaty, *Honor czy honorarium: z czego mają żyć pisarki i pisarze?*, wydał się szalenie interesujący dla wielu uczestników.

Po drugiej stronie zasiedli znakomici literaci – Max Cegielski oraz Zygmunt Miłoszewski, członkowie zarządu Unii Literackiej, a spotkanie prowadziła Aleksandra Boćkowska, dziennikarka związana między innymi z „Dwutygodnikiem”. Zabrakło kobiecego głosu, którym miała być wybitna tłumaczka literatury szwedzkiej Justyna Czechowska. Współzałożycielka Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury utknęła na lotnisku w Szwecji. Udało jej się jednak przekazać gościom pewną wiadomość. Ale o tym później.

Miłoszewski już na samym początku przywołał pewną „odę do chciwości”, jednak Boćkowska przerwała, mówiąc, że nie da mu przejąć tego spotkania. Tym samym rozpoczęła się część poświęcona narzekaniu. To był dzień, w którym polski internet, szczególnie środowiska literackie, obiegła grafika obrazująca koszty oraz zyski z książki sprzedawanej za 55 zł. Wynikało z niej, że autor takowej książki otrzymuje z każdego 55 zł zaledwie 4.19 zł. Pozostałe składowe to koszty wydawcy, tłumaczenia, projektu okładki, natomiast największa suma pozostaje po stronie dystrybutora.

Te liczby były punktem wyjścia do pytania o to, czym jest honorarium. Odpowiedzi podjął się Zygmunt Miłoszewski. Okazało się, że honorarium to suma uzyskiwanej przez autora przed wydaniem książki zaliczki oraz kwoty, którą zarobi książka w sprzedaży. Na rozliczeniu z wydawcą widnieje informacja o tym, ile książka zarobiła dla wydawcy, a z tego (w zależności od umowy) jaką składową otrzymuje autor. W rezultacie autor otrzymuje konkretne pieniądze dopiero po zakończeniu całego procesu twórczego i ewentualnej promocji. Pod warunkiem, że książka dobrze się sprzedaje. Zaliczka otrzymywana jest zatem na poczet sprzedaży. „Dlaczego się na to godzimy?” – pytała retorycznie prowadząca.

Spotkanie z Dorthe Nors, fot. Ewelina Kamińska







Debata Honor czy honorarium: z czego mają żyć pisarki i pisarze?, fot. Bartosz Bańka

### Dlaczego literatura została zapomniana?

„Jeśli nie uzdrowimy tej sytuacji, to nawet bardzo poczytni autorzy znajdą się w kryzysie” – tłumaczył Cegielski. Dodał, że przez ostatnią dekadę literatura znalazła się między młotem a kowadłem – z jednej strony cenzura, z drugiej zupełnie nieuregulowany rynek. Zwrócił też uwagę, że nie będzie dystrybutorów bez pisarzy, i na to, że aktorzy i aktorki w świetle ostatniej nowelizacji ustawy będą otrzymywać tantiemy od czytanych przez siebie audiobooków, podczas gdy autorzy owych książek zostali początkowo przez prawo pominięci, choć ostatecznie udało się zapis nowelizacji zmienić. „Wszystko zaczyna się od tego, że my to piszemy” – mówił Cegielski.

„Po co nam rynek książki?” – drążyła prowadząca. Miłoszewski przyznał się do romantycznej postawy i radości płynącej z bycia częścią polskiej kultury. „To, że używam języka Kochanowskiego i Iwaszkiewicza jest powodem do dumy” – podkreślał, dodając, jak ważne jest, żebyśmy byli społeczeństwem idei, a nie tylko społeczeństwem portfela.

Z dyskusji wyłonił się dość mroczny obraz polskiego przemysłu kreatywnego, w którym literatura została pominięta, a pisarze, w przeciwieństwie do innych przedstawicieli świata kultury i sztuki, takich jak malarze, filmowcy czy muzycy (wykształceni za publiczne pieniądze i pracujący w instytucjach utrzymywanych za publiczne pieniądze), nie mogą liczyć na systemowe wsparcie państwa. „Czy można się wykształcić na prozaika?” – pytał retorycznie Miłoszewski. Wylizował dalej: pisarz to prywatna firma, wydawnictwo to prywatna firma, a czytelnik w dniu premiery może za darmo wypożyczyć książkę z biblioteki. „Przecież nie możemy chodzić do kina za darmo na polskie filmy” – mówił autor *Ziarna prawdy*.

Max Cegielski nie przebierał w słowach. Przypomniał o romantycznym oczekiwaniu, że pisarz czy pisarka będą żyć w biedzie na poddaszu, bo przecież taki jest ich los. W tym momencie została wspomniana nieobecna Justyna Czechowska. Okazało się, że tłumaczom wiedzie się na rynku nawet nieco lepiej niż pisarzom. Dlaczego? Walczą. Wiadomość Czechowskiej odczytała na głos prowadząca. Tłumaczyła w niej, co robić. „W 2019 roku wymyśliłam projekt *Przeczytane w tłumaczeniu* realizowany przez Radę Instytutu Kultury Europejskiej (...). Od słowa do słowa powstało Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury”. Chcieli zostać zauważeni, a dzięki ich działaniom nazwisko tłumacza pojawia się

na przykład na okładce, co jest ewenementem w skali europejskiej.

### Co zrobić, żeby było lepiej?

#### Rozwój czytelnictwa inaczej

Przechodząc do części dotyczącej szukania rozwiązań, Aleksandra Boćkowska postawiła pytanie o to, co zrobić, żeby było lepiej. „Biblioteki stały się darmowym streamingiem książek” – oznajmił Miłoszewski, zaznaczając jednocześnie, że rozwój bibliotek jest ważny, ale biorąc pod uwagę zatrważająco niskie stawki, które otrzymuje autor za wypożyczenie książki, nie mogą być jedynym sposobem rozwoju czytelnictwa. Przywołany został też enigmatyczny termin PLR, czyli Public Lending Rights – jest to fundusz, z którego autorom i autorkom są wypłacane wynagrodzenia za wypożyczenie. Co roku są cztery miliony złotych na wszystkich autorów, których książki są w bibliotekach. „My prosimy tylko o to, żeby traktować nas tak, jak są traktowani wszyscy inni” – mówił Miłoszewski, podkreślając, że nie chcą żadnego specjalnego traktowania.

Czy stała cena książki jest rozwiązaniem? – zastanawiali się goście. W tej chwili cena książki w internecie jest na tyle konkurencyjna, że nikt nie kupuje książek w księgarniach. „To nie uratuje rynku, ale jest jednym z elementów, który może pomóc w naprawianiu tego systemu. To nie Empik wygryzł małe księgarnie, tylko stał się silny słabością innych” – skonstratował Miłoszewski. Jego zdaniem w krajobrazie miejskim powinny znaleźć się księgarnie, które są ważne społecznie. Wspieranie księgarstwa powinno odbywać się równolegle do wspierania bibliotek. Tu znowu została przywołana do tablicy nieobecna Czechowska, która wspominała wcześniej, że dzięki pracy Stowarzyszenia tłumacze i tłumaczki nauczyli się lepiej negocjować umowy.

Natomiast nie udało się wypracować niczego w kwestii ubezpieczeń dla artystów. Pisarze są poza systemem – państwo ich nie widzi, banki ich nie widzą. „Co z tym zrobić?” – dopytywała Boćkowska. „Wymyśliliśmy” – odpowiedział Miłoszewski. Chodzi o specjalną ustawę, która ma objąć pisarzy możliwością ubezpieczenia zdrowotnego i społecznego. „3,5% PKB wytwarza przemysł kreatywny w Polsce” – podkreślał Cegielski.

„Co by się stało z waszymi honorariami, gdyby tantiemy i PLR działały jak trzeba?” – dopytywała prowadząca. „Tu nie chodzi o to” – wyjaśniał Miłoszewski. Mówił

o poczuciu spokoju, kiedy nie czujesz się we własnym państwie osamotniony. „Dokładamy się do teatru i filmu, więc skoro chcemy, aby nasze książki były w dniu premiery dostępne za darmo, to powinniśmy zobowiązać państwo do wsparcia”.

### Oda do chciwości

Przed rozpoczęciem dyskusji na scenie pojawił się jeszcze Grzegorz Jankowicz – dyrektor Instytutu Książki. „Wasze postulaty uważam za zasadne” – stwierdził. Co ciekawe, jego wystąpienie wydawało się być próbą mitygowania obecnych na scenie gości. Podkreślał, że część z ich zarobków pochodzi na przykład ze spotkań autorskich. Jednocześnie wskazywał na nowy system funkcjonowania pisarzy na rynku. „Kiedyś pisarz utrzymywał się z tego, że pisze. (...) Do tego w pewnym momencie doszedł model nazywany innym życiem”. Wyjaśniał, że polega to na tym, że pisarze, żeby się utrzymać, są zmuszeni do wykonywania kilku profesji, aby wzmocnić swoją pozycję na rynku książki. Pytania od publiczności dotyczyły książek z Biedronki, wydawania książek za granicą (umowy są bardziej przejrzyste niż w Polsce i są od ceny okładkowej). Cegielski podkreślał, że twórcy powinni być chronieni, a w świecie, w którym żyjemy, ani Google ani Netflix nie zarobi nawet grosza, jeżeli ktoś mu tej treści nie stworzy. „Podstawę tej piramidy trzeba chronić” – dodał.

Na końcu jedna z uczestniczek spotkania poprosiła jeszcze o wspomnianą już wcześniej odę – „Ode do chciwości” Miłoszewskiego. „Walka o godziwe wynagrodzenie sprawia, że my wszyscy dostajemy lepsze rzeczy” – zakończył Miłoszewski. „Poza tym razem raźniej” – dodał Cegielski, apelując do pisarzy, aby się zrzeszali i lepiej negocjowali swoje umowy. „Dla dobra sztuki warto zająć się konkretem” – stwierdził.

» [Debatę Honor czy honorarium: z czego mają żyć pisarki i pisarze? z udziałem Zygmunta Miłoszewskiego i Maxa Cegielskiego poprowadziła Aleksandra Boćkowska. Na polski język migowy tłumaczyły Marta Jaroń i Karolina Bocian. Spotkanie można obejrzeć na kanale Goyki 3 na YouTube oraz odsłuchać w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3.](#)

”  
*Pisarze,  
w przeciwieństwie do  
innych przedstawicieli  
świata kultury  
i sztuki, nie mogą  
liczyć na systemowe  
wsparcie państwa.*



# To był wstęp do Holocaustu

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

**„Praca nad tą książką była bardzo kosztowna i myślę, że spłacam te koszty do dzisiaj” – stwierdziła Kalina Błażejowska, autorka *Bezdusznych*.**

Podczas spotkania na Literackim Sopocie Kalina Błażejowska mówiła, że na temat książki *Bezduszni. Zapomniana zagłada chorych* wpadła w Mediolanie, gdzie trafiła na wystawę poświęconą programowi tzw. eutanazji w nazistowskich Niemczech i krajach okupowanych. „Szukałam wątków polskich, ale ich nie było. Zaczęłam się zastanawiać, czy to dlatego, że polscy pacjenci nie byli objęci tym programem, czy może to przeoczenie. Usiadłam w najbliższej kawiarni, otworzyłam laptopa i zaczęłam googlować” – powiedziała.

Napisanie o tym nie było łatwe. „Było to duże wyzwanie, żeby podjąć się tematu, którego żaden reporter wcześniej się nie podjął. Może poza Krystyną Szwentnerową, która napisała książkę reporterską o szpitalu w Kocborowie, ale to dotyczyło tylko jednego szpitala i było 50 lat temu” – powiedziała reportażystka. „Zawsze mnie interesowały historia II wojny światowej, polskie doświadczenie w czasie wojny oraz kwestie zdrowia psychicznego. Postanowiłam to połączyć i napisać o doświadczeniu osób z zaburzeniami psychicznymi i niepełnosprawnościami w okupowanej Polsce” – zaznaczyła.

## Tragedia, która była wstępem do Holocaustu

Jak podkreśliła, to historia nieistniejąca w powszechnej pamięci, o której nie uczy się w szkole. „To taka tragedia, która została przyćmiona przez Holocaust, a była do niego wstępem. Ale o tym się nie pamięta. Nie pamięta się, że załogi obozów zagłady były szkolone właśnie w akcji T4 [kryptonim akcji uśmiercania osób psychicznie chorych i z niepełnosprawnościami], że to często byli ci sami ludzie, którzy najpierw zajmowali się eksterminacją pacjentów, a później eksterminacją Żydów. Nie pamięta się też, że to wszystko zaczęło się w Polsce. To tu po raz pierwszy zostały wykorzystane komory gazowe i wykonywano kolejne eksperymenty, które potem powtarzano na obywatelach Niemiec i innych państw” – opowiadała Kalina Błażejowska. „Zginęło wówczas przynajmniej 20 tysięcy osób – trudno ustalić dokładną liczbę, bo niszczone dokumenty i ślady, mordowano świadków – i nikt o tym nie mówi, nie obchodzi rocznic, nie ma dnia pamięci. Dla porównania Katyń jest jednym z najważniejszych martyrologicznych wydarzeń, które są zakorzenione w naszej zbiorowej pamięci, a przecież to podobna liczba ofiar. Myślałam, dlaczego chorzy psychicznie i niepełnosprawni zostali tak zmarginalizowani i na ile to się wiąże z tym, że dalej są stygmatyzowani i często wolimy odwracać wzrok od osoby chorej, niż się nią zainteresować” – dodała.

## To był ostatni moment

W czasie pracy nad książką Kalina Błażejowska dotarła do świadków tych wydarzeń. „Udało mi się odnaleźć kilka osób, między innymi Izabelę Galicką, która była córką dr.

Karola Mikulskiego z Gostynina, lekarza, który popełnił samobójstwo z bezradności wobec eksterminacji jego pacjentów. Galicka, urodzona w 1931 roku, wychowywała się w zasadzie na terenie szpitala, bo tam mieszkali, więc widziała to na własne oczy” – opowiedziała reportażystka. Inną osobą, do której dotarła, była Edeltrauda Mateja, której chory na padaczkę brat bliźniak zginął w Lublińcu. „Do momentu naszej rozmowy nie miała potwierdzenia, że to Niemcy go zabili. W domu się o tym nie mówiło, to było wielkie tabu. Pamiętała, jak mama myła brata przed odwiezieniem do szpitala, a potem pamiętała go już w trumnie. Z mamą o tym nie rozmawiała, tylko się domyślała, że został zabity, a nie zmarł z przyczyn naturalnych czy choroby. Chociaż w akcie zgonu wpisane miał zapalenie płuc” – powiedziała.

Kalinie Błażejowskiej udało się też porozmawiać z Henrykiem Lelonkiem, który przeżył Lubliniec. Mężczyzna odezwał się do reporterki, kiedy książka była już złożona. „Wiedziałam wtedy, że będę musiała dopisać jeszcze jeden rozdział” – dodała.

Prowadzący spotkanie Wiesław Władyka zapytał ją również o koszt emocjonalny, który poniosła, pracując nad tą książką. „Było to bardzo kosztowne i myślę, że spłacam te koszty do dzisiaj. W czasie pisania ucierpiało moje zdrowie psychiczne. Nie jestem najbardziej odporną psychicznie osobą, więc możliwe, że w ogóle nie powinnam się do tego tematu zabierać, ale miałam poczucie, że jak ja tego nie zrobię, to nikt tego nie zrobi. To ostatni moment, żeby znaleźć świadków” – stwierdziła.

» [Spotkanie z Kaliną Błażejowską prowadził Wiesław Władyka. Na polski język migowy tłumaczyli Agnieszka Bastrzyk i Tomasz Olender. Spotkanie można obejrzeć na kanale Goyki 3 na YouTube, natomiast zapis audio w formie podcastu można odsłuchać na kanale Goyki 3 na Spotify.](#)

”  
*Nie pamięta się też, że to wszystko zaczęło się w Polsce. To tu po raz pierwszy zostały wykorzystane komory gazowe i wykonywano kolejne eksperymenty, które potem powtarzano na obywatelach Niemiec i innych państw.*

Spotkanie z Kaliną Błażejowską, fot. Bartosz Bańka





# Pierwsza zasada reportera – nie kłamać

⇒ [Justyna Grochal](#)

**„Mnie interesowało, co dzieje się dalej, Kiedy kobieta ośmiela się wyważyć drzwi rodzinnej tajemnicy, zdemaskować oprawców wbrew świętemu przysłowiu »Nie kala się własnego gniazda«” – mówi Katarzyna Surmiak-Domańska, autorka reportażu *Mokradełko*, w którym zawarła rozmowy z osobami z otoczenia Halszki Opfer, Kobiety przez lata wykorzystywanej seksualnie przez ojca.**

*Mokradełko* to wydany w 2012 roku przez Wydawnictwo Czarne reportaż Katarzyny Surmiak-Domańskiej. W 2008 roku autorka spotkała się z Halszką Opfer, aby przeprowadzić z nią wywiad na temat *Kato-taty. Niepamiętnika*, książki, w której Halszka opisała, jak od czwartego roku życia była molestowana i gwałcona przez ojca przy całkowitej bierności matki. Reportaż *Mokradełko* powstał w oparciu o rozmowy z matką Halszki oraz osobami z jej bliskiego kręgu.

**Justyna Grochal:** [Reportaż \*Mokradełko\* to ważna książka w pani życiu?](#)

**Katarzyna Surmiak-Domańska:** Tak. W tamtym czasie byłam samotną matką, wdową. Wychowywanie córki odciągnęło mnie od zawodu na co najmniej 10 lat. Wreszcie przyszedł taki moment, kiedy postanowiłam powalczyć o napisanie pełnometrażowej książki. Ale jak pogodzić zbieranie materiału i pracę nad książką z pracą, której przecież nie mogłam zawiesić, chociażby z powodów finansowych, z opieką nad dzieckiem? Na szczęście tu mogłam liczyć na rodziców. Od początku jednak bałam się, że ten projekt nie dojdzie do skutku, że tej książki nie uda się napisać. Dlatego ujawniłam się z nią dopiero, gdy była gotowa.

**Dlaczego sądziła pani, że się nie uda?**

Bo najbardziej zależało mi na rozmowie z matką Halszki. A takie matki nie mówią. *Mokradełko* nie jest reportażem o wykorzystywaniu dzieci w rodzinie. O tym jest *Kato-tata* Halszki. Mnie interesowało, co dzieje się dalej, Kiedy kobieta ośmiela się wyważyć drzwi rodzinnej tajemnicy, zdemaskować oprawców, wbrew świętemu przysłowiu „Nie kala się własnego gniazda”. Albo „Brudy pierze się we własnym domu”. Proszę zwrócić uwagę, ile mamy w polskiej kulturze przysłów, które zapewniają bezkarność oprawcom.

**Nie mieściło mi się w głowie, jak można z jednej strony dziecko kochać, troszczyć się o nie, a z drugiej być nieczułą na to, że jest wykorzystywane, niszczone. A przy tym cały czas nie wychodzić z roli dobrej matki. Nie chodziło o osąd czy potępienie. Chciałam po ludzku zrozumieć, dlaczego tak się dzieje.**

Przyznaję, że obawiałam się także, czy Halszka się wycofa. Gdyby to zrobiła, wszystko by się posypało. Nie mogłabym wydać tej książki wbrew niej.

**W spotkaniu z matką pomogła pani Halszka.**

Poznałam Halszkę, robiąc z nią wywiad do „Wysokich Obcasów”. Po nim pozostawałyśmy w kontakcie. Halszka często do mnie dzwoniła i opowiadała o mamie, która po opublikowaniu jej *Kato-taty* obraziła się na nią. Cały czas oczywiście twierdząc, że całe to wykorzystywanie przez ojca to wymyślone bzdury. Halszka miała huśtawkę nastrojów wobec niej – od gniewu, wściekłości, żalu po wyrzuty sumienia, że zrobiła coś takiego biednej mamie. Jej również zależało na tym, żeby zmusić matkę do wyznania. Została więc moją współpracowniczką w intrydze. Pani Karolina jest poniekąd takim everyone’em. Takich kobiet jest w Polsce mnóstwo – które są bierne, a potem chowają głowę w piasek, wypierają winę męża oraz swoją. Jej perspektywa jest niesłychanie ważna, żeby zrozumieć, na czym polega problem tak zwanej tradycyjnej rodziny. Halszka wprowadziła mnie do jej domu jako tajemniczą koleżankę. Mogłam być świadkiem ich relacji. Na końcu się ujawniłam. Odbyłyśmy z panią Karoliną rozmowę, w której właściwie nic nie zostało powiedziane, ale z drugiej strony zostało powiedziane wszystko.

**Rozmawiała pani również z osobami z otoczenia Halszki.**

Niezrozumiałe było dla mnie, że ci ludzie potępili Halszkę za to, że ośmieliła się odstąpić tajemnicę. Zamiast się bulwersować tym, że mężczyzna gwałci czteroletnie dziecko, ich oburzało, że to dziecko jako dorosły człowiek śmie o tym mówić. Również ten mechanizm chciałam zrozumieć. Wydawało mi się, że nikt nie będzie ze mną rozmawiał. Było zupełnie inaczej. To było największym zaskoczeniem. Nikt nie wyrzucił mnie za drzwi. Miałam wręcz wrażenie, że ci ludzie czekali na kogoś takiego jak ja, kto przyjdzie do ich domu i zapyta ich, co sądzą o Halszce.

**Pisze pani we wstępie o dwóch przypadkach, kiedy książka zrobiła furorę w bibliotece w Mokradełku. Raz to była opowieść kobiety z Niemiec, która była gwałcona przez ojca i braci, a drugi książka *Kato-tata* Halszki. Reakcje na te dwie, podobne historie były zgoła inne. Mieliśmy solidaryzowanie się z tamtą autorką, a z Halszką – wręcz przeciwnie. Trudniej nam dostrzec ofiarę w osobie, którą znamy?**

Wygląda na to, że nasza empatia zwiększa się wraz z dystansem. Bardziej współczujemy tym, którzy są odlegli, także fikcyjnym postaciom z książek czy filmów. Trudniej poczuć sympatię, ująć się za kimś skrzywdzonym, kto żyje obok nas.

Sama bibliotekarka była tym zaskoczona. Mówiła, że to przecież takie same historie. Jest nasza sąsiadka, kobieta, którą wszyscy znamy, sytuacja jest taka sama, a jej nie współczujemy. Ona nie jest dla nas taką prawdziwą ofiarą. Zaczynamy kombinować, jak nasz brak współczucia usprawiedliwić.

**To teraz zapytam, jaka jest Halszka?**

Słowna, solidna. Można na niej polegać i za to jestem jej ogromnie wdzięczna. Zrobiłyśmy ten projekt wspólnie, to ona wskazywała mi, do których domów warto zapukać. Specjalnie wybieraliśmy rozmówców najbardziej Halszce nieprzychylnych. To ona mi ułatwiła wejście do swojej teściowej, dała namiar na byłego męża. I to wreszcie ona wprowadziła mnie do domu swojej matki, do którego nie wszedł żaden dziennikarz. To wszystko się zasadzało na obopólnym zaufaniu. Myślę, że tego zaufania nie

zawiodłam. Ona też nie zawiodła mojego – nie stawiała warunków, nie wycofała się. Byłyśmy umówione, że nie będzie mogła przeczytać książki przed drukiem.

**Jak zareagowała?**

Pozytywnie. Do tej pory jesteśmy w bardzo dobrych relacjach. Dotarliśmy z naszą znajomością do etapu, Kiedy jesteśmy po książce *Mokradełko*, po inscenizacji Mikołaja Grabowskiego, który przeniósł ją na deski Teatru Nowego w Poznaniu, a teraz czekamy na premierę filmu.

**Jaka jeszcze jest Halszka?**

Chyba najważniejsze zauważyła jej była lekarka rodzinna. Zwróciła uwagę na to, jak wielką zasługą Halszki jest to, że nie przeniósła traum z dzieciństwa na własne dzieci. One wychowały się już w zupełnie innym domu. Domu wolnym od przemocy, hipokryzji. Nie było tam fabrykowania nieprawdziwych historii, a zarazem, co jest najważniejsze, Halszka nie nauczyła dzieci nienawidzić dziadka. Sama boryka się z problemami natury psychicznej. Wymuszone życie seksualne w tak młodym wieku u dzieci, czyli po prostu gwałt, bo trudno mówić tu o konsensualnym współżyciu czteroletki, pozbawia dzieciństwa. Mam poczucie, że Halszka nie przepracowała dzieciństwa i to stadium czasem domaga się u niej możliwości realizacji. Na pewno jest osobą wrażliwą, łatwą do skrzywdzenia. Jest w niej wielka potrzeba bezwarunkowej, szczerzej, uczciwej bliskości i poczucia bezpieczeństwa, których nie dostała od rodziców.

**Czym według pani było dla niej napisanie tej książki?**

Chyba próbą ratowania siebie. Efektem kilkuletniej psychoterapii. Ta książka była na końcu długiej drogi, którą przeszła od momentu, Kiedy zaczęła podejrzewać, że jej dzieciństwo nie było normalne. Dziecko, które jest zmuszane to takiej relacji z rodzicem, nie zdaje sobie sprawy, że coś jest nie tak. Czuje się z tym źle, nie lubi, ale uważa, że tak trzeba. Rodzice dają mu do zrozumienia, że to w porządku.

Halszka długo nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo została skrzywdzona. Miała stany lękowe i depresyjne, ale dopiero jako dorosła kobieta trafiła do psychoterapeuty, która zaczęła z niej wydobywać przeszłość. Halszka na różne sposoby starała się ją przepracować. Podejmowała chybione próby rozmowy z rodzicami, zwłaszcza z matką, które tylko powiększały frustrację. Dlatego napisała *Kato-tatę*. Skoro nie mogła porozmawiać z matką, postanowiła opowiedzieć o wszystkim nam. Skonfrontować swoje doświadczenie z opinią publiczną.

**Czy Kiedykolwiek powiedziała pani, że żałuje napisania tej książki?**

Nie. Na pewno nie żałuje. Myślę się, że ma świadomość, że walka jest czymś zdrowym. Że najgorsze to wypierać i zakłamywać rzeczywistość. Widzi, że jej mamie strategia wypierania nie zapewniła spokoju. Nie jest osobą szczęśliwą, pogodną. Nie ma poczucia bezpieczeństwa.

**Ta strategia na koniec ją osamotniła.**

Zniszczyła jej więź z córką. Na starość, Kiedy nasi partnerzy odchodzą, relacje z dziećmi są niesłychanie ważne. Wybranie uległości wobec męża kosztem dobra dziecka to bomba z opóźnionym zapłonem. A potem im później, tym trudniej jest się wycofać, odkłamać.

**Czy jednym z wyzwań w pracy reporterki jest trzymanie emocji i własnych opinii na wodzy?**

Tak, oczywiście. Ale ja z tym akurat nie mam problemu. W życiu prywatnym jestem osobą zdecydowanie bardziej impulsywną niż w pracy. Zbierając materiał do tekstu, samokontrola przychodzi mi dużo łatwiej. Spokojnie reaguję nawet na opinie prywatnie mnie bulwersujące, nigdy się nie kłócę. Wychodzę z założenia, że moi czytelnicy nie chcą czytać o tym, jak ja moich bohaterów zapędzam w rozmowie w kozi róg. Rozmowa w reportażu nie polega na tym, by komuś udowodnić, że nie ma racji, tylko żeby zrozumieć jego argumentację, zobaczyć, co się za nią kryje, rozłożyć na czynniki pierwsze.

**Podaję, że praca nad takimi tematami to pewien koszt emocjonalny. Jak mocny wpływ wywarła na pani historia Halszki i spotkanie z jej otoczeniem?**

To był spory stres. Z panią Karoliną spotkałam się trzy razy, zanim wyjawiałam, że jestem reporterką. Cały czas myślałam o tym, co będzie, jeżeli mnie zapyta, kim jestem z zawodu. Nie miałam na to planu. Mogłam tylko zaklinać rzeczywistość, żeby nie spytała. Na pewno bym nie skłamała. Pierwsza zasada reportera – nie kłamać. Ale nie zapytała. Może się domyślała? To było aż dziwne, że tak mało pytań zadaje i że od razu mnie przyjęła. Podejrzewam, że ona się po prostu bała zapytać. Kiedy do niej przyszedłam ostatni raz i powiedziałam, że piszę książkę o Halszce, nie zdziwiła się. Poczuli się przyparta do muru, wiedziała, że już nie ma ucieczki. Powiedziała tylko: „Mam nadzieję, że nie ma pani ukrytej kamery i nie będę pokazywana w telewizji”.

**Jak pani zareagowała, gdy Kamila Tarabura przysłała i powiedziała, że swój debiutancki film *Rzeczy niezbędne chce oprzeć na Mokrądełku*?**

Przysłała do mnie jeszcze jako studentka szkoły filmowej. Długo rozmawiałyśmy o *Mokrądełku*, ale wtedy to wszystko było patykiem na wodzie pisane. Reżyserzy nieustannie szukają tematów do filmów. Umawiają się z autorami, którzy mogą ich zainspirować. Ja takich spotkań mam na koncie bardzo wiele. Kiedy po kilku latach okazało się, że film ma być realizowany, pomyślałam, że Kamila to silna dziewczyna. Podziwiam jej wytrwałość i konsekwencję.

**Uczestniczyła pani w pracach nad filmem?**

Film nie jest ekranizacją książki, jest nią inspirowany. To ważna różnica. Kamila zagwarantowała sobie prawo podążenia w swoją stronę. Natomiast niezależnie od tego pokazywała mi scenariusz na różnych etapach, była ciekawa mojego zdania i zawsze rozważała moje uwagi. Choć nie miała takiego obowiązku.

Miałam też spotkanie z Katarzyną Warnke [współscenarzystka i aktorka filmu], a także z producentem. Mam poczucie, że mój wkład w ostateczne dzieło był na każdym etapie uznawany. Byłam chyba jedną z pierwszych osób, które film widziały we wstępnej wersji. Nie miałam większych uwag, poza drobiazgami. Przyznaję, że obejrzałam film ze wzruszeniem.

**Czy według pani Kamili i aktorkom udało się oddać niuansy i złożoność tych postaci i ich relacji?**

Wychodząc od prawdziwej historii, Kamila snuje własną opowieść. Inaczej stawia akcenty. Zmiana dotyczy

głównie natury relacji między reporterką a Roksana (Halszką). Natomiast te najważniejsze rzeczy z *Mokrądełka* w pełni wybrzmiewają. A za takie uważam pokazanie napiętej relacji między matką i córką, pokazanie złożonej osobowości matki. W scenie końcowej matka powtarza dokładnie to, co mi powiedziała pani Karolina, gdy zapytałam, co by zrobiła, gdyby jednak wiedziała o tym, że jej mąż sypiał z ich córką. Mnie wtedy ciarki przeszły po plecach, tak jak filmową Adę. Cieszę się, że tak wiele autentycznych kwestii, nagranych kiedyś na mój dyktafon, zostało zachowanych w filmie. Podoba mi się postać grana przez Dagmarę Domińczyk. Dobrze uchwyciła styl pracy nas, reporterek społecznych.

**Napisała pani na Facebooku, że jej postać przetłumacza stereotyp takiej zadziornej dziennikarki w filmach.**

Stereotypowa dziennikarka w kinie akcji jest nerwową, szorstką pracoholiczką. Nie je, nie śpi, chodzi szybko i lubi brać swoich rozmówców w krzyżowy ogień pytań. My, dziennikarki, a konkretnie reportażyści, zachowujemy się raczej jak Ada. Nasza praca, podobnie jak w tym filmie, to długie samotne godziny w samochodzie. Ja, podobnie jak Ada, nie zasypuję ludzi pytaniami, wolę posłuchać tego, co sami chcą powiedzieć. Wypijam z nimi mnóstwo herbat, czasem coś zjem. Podoba mi się niespieszne tempo filmu, to, że Ada snuje się od człowieka do człowieka, słucha, rozgląda się, potem w samochodzie to sobie wszystko przemyśli. Aż na koniec zaczyna rozumieć.

» **Spotkanie z Katarzyną Surmiak-Domańską** prowadziła Paulina Małochleb, na polski język migowy tłumaczyły Karolina Bocian i Marta Jaroń. **Spotkanie można obejrzeć na Kanale Goyki 3 na YouTube oraz odsłuchać w formie podcastu na Kanale Spotify Goyki 3.**

”  
**Rozmowa w reportażu nie polega na tym, by komuś udowodnić, że nie ma racji, tylko żeby zrozumieć jego argumentację, zobaczyć, co się za nią kryje, rozłożyć na czynniki pierwsze.**

Spotkanie z Katarzyną Surmiak-Domańską, fot. Ewelina Kamińska





# Z każdym językiem tworzymy siebie na nowo

⇒ Julia Kapata

**„Żyjąc tyle lat na obczyźnie poczułam, że tracę mój język ojczysty. Dlatego zdecydowałam się napisać tę książkę po litewsku” – mówiła Akvilina Cicėnaitė, autorka książki *Słownik języka angielskiego*, o której opowiedziała Agacie Passent i publiczności zgromadzonej w PGS w słoneczne sobotnie popołudnie.**

Akvilina Cicėnaitė to pochodząca z Litwy pisarka, tłumaczka i literaturoznawczyni, która przez wiele lat mieszkała w Australii, a wcześniej studiowała w Nowej Zelandii. Po dyplomie przeprowadziła się do Sydney, aby w końcu wrócić do Wilna, gdzie obecnie spędza większość czasu. *Słownik języka angielskiego* to fuzja powieści drogi i eseju, w której autorka podejmuje tematy związane z imigracją, próbą dopasowania się, ale także kwestie dotyczące globalizacji i kolonialnej historii. Rozkłada je na czynniki pierwsze za pomocą wyjątkowych słów-kluczy, ciężko przetłumaczalnych terminów, które ułożone w abecadło tworzą swoisty, osobisty słownik.

## Rozmowa o języku w zwolnionym tempie

Spotkanie odbyło się właściwie w trzech językach – przy czym najciekawszym elementem był zdecydowanie litewski, tak rzadko słyszany na polskich ulicach czy w mediach, że dla polskiego ucha brzmi prawie egzotycznie (co zauważył jeden z gości obecnych na widowni). Autorka przywitała się z widownią po polsku, natomiast resztę spotkania z litewskiego na polski tłumaczyła fenomenalna Agnieszka Rembiałkowska, która przełożyła również *Słownik języka angielskiego*.

„Czy trudniej jest zapomnieć język czy nauczyć się nowego?” – zapytała Agata Passent, rozpoczynając półtoragodzinną dyskusję o tożsamości, drodze i języku własnym. „Z każdym językiem otrzymujemy siebie na nowo, stajemy się innym człowiekiem” – odparła autorka. I dodała: „To bardzo trudne pytanie, ale stało się pomostem do opowiadania o tym, dlaczego napisałam tę książkę”. Przyznała, że w pewnym momencie zaczęła tracić wyuczucie w litewskim, lata spędzone w kulturze anglosaskiej odcisnęły piętno na języku ojczystym, chciała więc utrwalić ten moment i zobaczyć, co się z nią dzieje. „Kiedy uczymy się nowego języka, to dajemy sobie dar ze świata kodowanego w tym języku. Kiedy go zapominamy, to tracimy ten świat”.

Cicėnaitė opowiadała o strachu i niepewności, gdy wchodzimy w nowy język, o kompleksach, kiedy zdajemy sobie sprawę, że nie jesteśmy w stanie wyrazić całego swojego potencjału w nowym języku. Jednocześnie podkreślała, że „z każdym kolejnym językiem tworzymy siebie na nowo, mamy do czynienia z inną Agatą, Akviliną czy Agnieszką w innych językach. Zmienia się sposób myślenia, wyrażania się, więc niejako przenosimy się do innego świata”.

Agata Passent nie mogła nie zapytać o język polski, o którym autorka wspominała również w swojej książce. Przyznała, że czasami język polski w niej ożywa, szczególnie teraz, kiedy jest w Polsce. W dzieciństwie wychowywała ją głównie babcia, która była Polką z Wileńszczyzny, i nie był to polski standardowy, tylko tzw. tutejszy. Przyznała, że po śmierci babci ten element językowy zniknął z jej otoczenia, jednak powrócił właśnie podczas pisania książki.

## Childfree, czyli jaki/jaka?

„Jak oceniasz flirt z Sydney” – zapytała Passent, przechodząc jednocześnie do rozmowy o stereotypach. „Trudno było mi oswoić Sydney. Jestem człowiekiem Europy” – odparła autorka.

Długo szukała formy i pomysłu na to, jak opowiedzieć swoją historię. Kluczem okazała się fraza „słownik języka angielskiego”, która pozwoliła ująć wiele różnych zjawisk. Chciała pisać w tej książce o tym, czym jest życie pomiędzy kulturami i czym jest nieprzekładalność. O tym, co pozostaje poza zasięgiem przekładu i jest utracone w tłumaczeniu. Przyznała, że *Słownik języka angielskiego* miał być trudny w przekładzie.

Przechodząc do kolejnej części dyskusji, Agnieszka Rembiałkowska odczytała jeden z fragmentów, literę c, w której znalazło się hasło *childfree*. Po angielsku słowo bezdzietna/y to *childless* (*child* – dziecko, *less* – brak czegoś). Co zatem oznacza *childfree*, w którym słowo dziecko połączone jest ze słowem wolny? „*Childfree* jako nie-mama (...), *childless* – to rozpacz, ból, strata, *childfree* – wolność od bycia rodzicem” – pisze w swojej książce Cicėnaitė. To słowo doskonale obrazuje, co miała na myśli i jaka była jej intencja przy dobieraniu haseł do kolejnych rozdziałów książki. Tam, gdzie litewski zdawał się niezdolny do oddania jej myśli czy znaczenia, pojawiał się angielski. „Dzieciowolni, wolni od dzieci, wolni od rodzicielstwa? Jak to przetłumaczyć?” – zastanawiała się Agata Passent, prosząc o pomoc publiczność. „Stoję po stronie przekonania, że język odzwierciedla społeczne przekonania w pewnych kwestiach” – powiedziała gościni. „Skoro zarówno w języku polskim, jak i litewskim nie mamy słowa na zdefiniowanie świadomej decyzji kobiety o nieposiadaniu dzieci, co to mówi o naszym społeczeństwie?” – pytała retorycznie. Przyznała również, że czasami angielski jej pomaga, ponieważ odnajduje tam słowo, które nie stygmatyzuje i pozwala nazwać jakieś zjawisko.

Podobnie jak *childfree*, pozostałe hasła w jej książce rzucają światło na to, dlaczego nie tylko trudno tłumaczyć z jednego języka na drugi, ale też dlaczego trudno jest tak po prostu się porozumieć.

## Pytania o język książek i emigrację

Autorka zapytana o swoje preferencje książkowe i językowe przyznała, że przez wiele lat czytała głównie po angielsku, ale po powrocie na Litwę czyta przede wszystkim po litewsku, ponieważ pracuje nad doktoratem na temat formowania się zmian i świadomości pisarzy litewskich w XX wieku. Jest też członkinią komisji w konkursie Książka Roku na Litwie, w związku z czym musi bardzo dużo czytać po litewsku. Wśród swoich ulubionych autorów wymienia Olgę Tokarczuk, Annie Ernaux, Georgia Gospodina i Deborah Levy.

Przechodząc od książek do migracji, prowadząca zapytała autorkę o jej tożsamość, dzieciństwo na Litwie i o to, czy

tak chętnie wyjechałaby z domu, gdyby jej dzieciństwo było bardziej sielskie. „Nie do końca czuję się autorką litewską, ponieważ napisałam właśnie taką książkę”. Dodała, że pomimo wielu lat podróży i przemieszczania się z miejsca na miejsce najszczęśliwsza jest w domu, pisząc lub czytając. „Może to język jest domem?” – dopytywała prowadząca.

„Gdyby miała pani napisać taki słownik litewski dla kręgu anglojęzycznego, to jakie słowa by się w nim pojawiły i jaką pani stronę by pokazały?” – zapytała autorkę jedna z uczestniczek spotkania pod koniec dyskusji. „Też o tym myślałam” – odparła Cicėnaitė. Powiedziała, że jej powrót do domu jest niejednoznaczny, bo wróciła do miejsca, które po tylu latach jest zupełnie inne. „Pojawiły się pewne nieprzekładalne, nowe litewskie słowa i znaczenia, a przetwarzanie ich to *work in progress*” – dodała.

» Rozmowę z Akviliną Cicėnaitė prowadziła Agata Passent. Spotkanie tłumaczyła Agnieszka Rembiałkowska. Na polski język migowy tłumaczyli Elżbieta i Paweł Żurawscy. Spotkanie można obejrzeć na Kanale Goyki 3 na YouTube oraz odsłuchać w formie podcastu na Kanale Spotify Goyki 3.

”  
Kiedy uczymy się nowego języka, to dajemy sobie dar ze świata kodowanego w tym języku. Kiedy go zapominamy, to tracimy ten świat.



Rozmowa z Akviliną Cicėnaitė, fot. Bogna Kociumbas-Kos



# Mała Francja wiecznie żywa?

⇒ **Klaudia Czaboryk**

**„Tym, którzy w latach 20. i 30. wyjechali do Francji »za chlebem«, nie dziwię się, że chcieli wracać do ojczyzny. Decyzja o emigracji często była podejmowana z myślą, że to »tylko na chwilę«” – mówi reporterka Aleksandra Suława.**

Reportaż *Przy rodzicach nie parlować* opowiada o losach Polaków, którzy po II wojnie światowej przyjechali z Francji do Polski, aby pomóc odbudować zniszczoną ojczyznę. Co zaskakujące, ta francuska część historii Polski wydaje się być przemilczana. O tym, dlaczego tak jest, a także o tym, kim byli reemigranci, opowiada autorka Aleksandra Suława.

**Klaudia Czaboryk:** Mam wrażenie, że jeśli nie mieszka się na Dolnym Śląsku w okolicach „Małej Francji” albo nie ma reemigranta w rodzinie, to można nigdy nie usłyszeć o masowej reemigracji z Francji. Dlaczego ten temat jest ciągle obcy dla większości Polaków?

**Aleksandra Suława:** Ostatni rok po premierze książki nauczył mnie, że ludzie dzielą się na dwie grupy. Pierwsza to ci, którzy są zaskoczeni tym, że nigdy o reemigracji nie słyszeli, choć interesują się Francją, a czasami nawet studiowali filologię romańską. Druga grupa to ludzie, którzy mieli w rodzinie reemigranta i doskonale znają temat, bo całe ich życie w domu rodzinnym upłynęło pod znakiem Francji. I rzeczywiście jest tak, że jeśli nie zdobyliśmy wiedzy o tym epizodzie w naszym rodzinnym środowisku, to w szkole, popularnonaukowych opracowaniach czy popkulturze ciężko znaleźć jakiegokolwiek wątku, które mogłyby nas na ten temat naprowadzić.

Dlaczego tak się stało? Jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie nie ma, są jednak pewne tropy. Mnie najbardziej przekonuje wyjaśnienie, które mówi, że ta grupa 70-80 tysięcy reemigrantów po prostu rozplynęła się w masie setek tysięcy innych, którzy przyjechali na Dolny Śląsk czy w ogóle do Polski po II wojnie światowej. Bo jeśli porównamy te kilkadziesiąt tysięcy z rzeszą ludzi, która przyjechała ze wschodu, to widzimy, że Francuzi byli kroplą w morzu migrantów. Kroplą, która na dodatek skoncentrowała się tak naprawdę w kilku miastach, na przykład w Wałbrzychu, Jedlinie-Zdroju czy Bolesławcu, czyli tam, gdzie były kopalnie, bo ci ludzie przyjechali tutaj w konkretnym celu – mieli pomóc w odbudowie kraju. To jest jedno wyjaśnienie, drugie wyjaśnienie jest takie, że w PRL-u nie za bardzo o nich mówiono, bo bardzo szybko stali się dla władz niewygodni, mimo że to na ich zaproszenie wrócili do kraju. Byli problematyczni, bo przyjechali z zachodu i nikt tak naprawdę nie wiedział, jakimi ideami nasiąknęli i dlaczego tak bardzo tęsknią za Francją.

Poza tym „polscy Francuzi” byli odrobinę zamkniętym środowiskiem, bo po przyjeździe do Polski byli lokowani przy tych samych ulicach, na tych samych osiedlach i przebywając ze sobą, tworzyli środowisko, które pielęgnowało tę „francuskość”. Dlatego przez sąsiadów i kolegów z pracy czy szkoły byli odbierani

jako trochę dziwni, alienujący się, to również mogło nie sprzyjać temu, żeby na przykład muzeum zorganizowało poświęconą im wystawę. To się na szczęście zaczyna zmieniać – w tej chwili na przykład w Wałbrzychu podejmowane są inicjatywy mające na celu gromadzenie i utrwalenie wspomnień reemigrantów oraz opowiadanie o ich losach szerszemu gronu odbiorców.

**Czytając *Przy rodzicach nie parlować*, miałam w głowie jedno pojęcie i trzy słowa. Zacznę od pojęcia, a mianowicie od „wielkiej polityki” albo polityki przez wielkie P. Bohaterowie twojej książki byli traktowani jak pionki w grze, którą nazywamy polityką – z biednej Polski na zaproszenie rządu francuskiego pojechali do Francji potrzebującej rąk do pracy, tam ciężko pracowali, budowali od nowa życie, brali udział w wojnie, a potem ich ojczyzna przypominała sobie o nich i zaprosiła z powrotem do kraju, bo wtedy Polska potrzebowała rąk do pracy. Czy myślisz, że masowa emigracja i reemigracja miałyby miejsce, gdyby nie zachęty, obietnice i propaganda ze strony zainteresowanych państw?**

Nie sądzę. Z tego względu, że po prostu nie mieliby takiej możliwości. Oczywiście istniała emigracja w innych kierunkach – można było wyjeżdżać do Stanów, do Ameryki Południowej, tylko to nie były wyjazdy tak proste jak do Francji. Wyjazd do Francji był zorganizowany właściwie krok po kroku – o naborze do pracy we Francji można było dowiedzieć się na przykład w Kościele, następnie zgłaszało się do pośrednictwa pracy, a tam kierowali na rekrutację do Francji. Zgłaszało się do punktu rekrutacyjnego, których w Polsce było kilkanaście, i po spełnieniu odpowiednich warunków zaakceptowana osoba stawiała się na tak zwanej stacji zbiorczej na przykład w Mysłowicach, wsiadało się do pociągu i jechało do Francji. W Toul, w którym niegdyś mieściły się koszary wojskowe zaadaptowane na bazę przesiadkową, emigrant po przebadaniu dostawał informację, gdzie konkretnie ma się udać i stamtąd jechał do swojego docelowego miejsca, było to zazwyczaj jakieś górnicze osiedle. Następnie kierował się do kopalni, tam zostawał przyjęty do pracy i dostawał przydział zwykle na jakieś pół domku z ogrodem. Śmiało możemy więc powiedzieć, że był to pewny i bezpieczny wyjazd, co zachęcało do emigracji.

Czy możemy jednak stwierdzić, że ludzie emigrowaliby tak masowo, gdyby warunki ich nie zmusiły? Przypuszczam, że nie, gdyby nie fatalna sytuacja ekonomiczna w Polsce, ruch emigracyjny nigdy nie osiągnąłby takiej skali. Konieczność opuszczenia własnego kraju jest doświadczeniem trudnym, zwłaszcza gdy jedzie się w nieznaną, do kraju, który zna się co najwyżej ze słyszenia. W tym przypadku oczywiście można powiedzieć, że wielka historia jest okrutna, bo wyrwa ludzi i zmusza do takiej podróży, ale z drugiej strony dobrze, że ktoś stworzył organizacyjne i administracyjne ramy, czyniąc te wyjazdy względnie łatwymi, bezpiecznymi i dostępnymi.

**To teraz trzy słowa, które przewijają się przez twoją książkę. Pierwsze to rozdarcie. Czy myślisz, że istniało jakieś stuprocentowo dobre i słuszne rozwiązanie, takie, które nie byłoby obciążone gdybaniem „a co jeśli”? Czy rozdarcie jest nieuniknione?**

W takich realiach historycznych jak wtedy, myślę, że nie było dobrego rozwiązania. Nie wiem, czy w ogóle istnieją

realia, które niwelowałyby albo chociaż minimalizowały takie rozdarcia. Psychologowie mówią, że wybór to jest zawsze strata, bo wybór jest nie tylko tym, co zyskujemy, ale jest przede wszystkim tym, co tracimy – tysiącem możliwości, z których nie skorzystamy. W przypadku moich bohaterów być może powrót do Polski nie byłby aż tak gorzki, gdyby to była Polska, jaką sobie wymarzyli, jaką mieli w głowach. Być może, gdyby zobaczyli kraj do Francji porównywalny albo kraj, w którym żyłoby im się lepiej, to to rozdarcie byłoby mniejsze.

**Gdyby zmiana była na lepsze, to szybciej by się z nią pogodzili?**

Dokładnie. I myślę też, że gdyby te wydarzenia odbywały się w realiach podobnych do naszych, to znaczy, gdyby przyjazd nie był decyzją ostateczną, bo istniałaby możliwość powrotu, to może z większą lekkością podchodziliby do adaptacji w Polsce.

Do książki nie weszła pewna historia, której wysłuchałam już po zakończeniu zbierania materiału. Rozmawiałam z panią, która w 1948 albo 1949 roku pojechała na kolonie do Polski, w sumie rodzice wysłali ją trochę na zwiady, miała zobaczyć, jak jest w Polsce. I ona wróciła z dwiema historiami. Pierwsza dotyczyła niemożności spotkania z ciocią. Rodzina miała krewną we Wrocławiu i ta pani miała się z tą ciocią spotkać, ale do spotkania nigdy nie doszło, bo panie wychowawczyni na koloniach tak manewrowały grafikami dzieci, że we Wrocławiu tylko wyskoczyli na stacji, coś zobaczyli i z powrotem wsiedli do pociągu, więc nie było żadnej wymiany informacji i wrażeń z ciocią o tym, jak się w Polsce żyje. Druga historia to wizyta na pocztce – ta pani poszła na pocztkę, żeby wysłać pocztówkę do rodziców, była ubrana w sukienkę, którą przywiozła ze sobą z Francji, na pocztce zaczęły podchodzić do niej kobiety, zaczepiać ją, łapać za sukienkę i pytać „Skąd ty to masz?”, „Gdzie twoja mama to kupiła?”, „Skąd wzięła taki materiał?”. Po tych dwóch

”  
**Konieczność  
opuszczenia  
własnego kraju jest  
doświadczeniem  
trudnym, zwłaszcza  
gdy jedzie się  
w nieznaną, do kraju,  
który zna się co  
najwyżej ze słyszenia.**





Rodzina Aleksandry Suławy we Francji w latach 30. Chłopiec w marynarskim ubranku po lewej to jej dziadek, Franciszek. Zdjęcie z archiwum autorki.

doświadczeniach – dziwnego braku możliwości spotkania i zachwytu nad rzeczą z francuskiej perspektywy tak oczywistą jak materiał – ona i jej rodzice stwierdzili, że przyjazd do Polski nie jest dobrym pomysłem. Mówimy tutaj o decyzji, która została podjęta, bo ktoś został wysłany na rekonesans, więc została podjęta w sytuacji, w której ktoś ma bardzo dużo informacji, by zważyć wszystkie „za” i „przeciw”. Nie wszyscy reemigranci mieli taką szansę.

**Mówisz o wazeniu „za” i „przeciw”, a drugie słowo, o którym myślałam, czytając twój reportaż, to rozczarowanie, bo choć dzieci i wnuki reemigrantów z twojej książki często zaznaczają, że przyjazd do Polski był „świadomą decyzją” ich przodków, to jednak myślę, że Polska, którą zastali, boleśnie ich rozczarowała. Czy to rozczarowanie zastaną ojczyznę zbliżyło ich jeszcze bardziej do Francji? Czy kultywowanie francuskich zwyczajów i kurczone trzymanie się Francji było sposobem radzenia sobie z rzeczywistością?**

Myślę, że dla niektórych mógł to być pewien sposób radzenia sobie. Jedna z bohaterek powiedziała, że jej tata nigdy o Francji nie opowiadał. Tata już nie żyje, więc nie dowiemy się, dlaczego milczał, możemy się jedynie domyślać. Być może nie chciał żyć wspomnieniami miejsca,

za którym tęsknił, albo wręcz przeciwnie – jego wspomnienia były zbyt trudne, związane z podjęciem pracy w kopalni w bardzo młodym wieku i nie chciał do nich wracać. Natomiast myślę, że kultywowanie francuskich zwyczajów było po prostu miłe, tożsamościowe i kojące, bo pozwalało wracać myślami do kraju dzieciństwa czy młodości. Musimy pamiętać, że mówimy o dwóch pokoleniach – pokolenie, które decydowało zwykle o powrocie, to byli ludzie, którzy urodzili się w Polsce, wyjechali z niej w latach 20. czy 30., ale marzyli, żeby kiedyś, choćby w końcówce życia wrócić do ojczyzny. Drugie pokolenie to pokolenie, które we Francji się urodziło albo mieszkało tam od wczesnych lat dzieciństwa. Kontynuacja i pielęgnacja francuskich zwyczajów, np. gra w bule, gra na akordeonach, inny sposób ubierania się, areligijność i język francuski to były sposoby radzenia sobie ludzi, którzy spędzili dzieciństwo i większość swojego młodzińskiego życia we Francji. To oni najbardziej tęsknili, bo zawsze tęsknimy do kraju swojego dzieciństwa, swojej młodości.

**Trzecie słowo to żal. Żal, że ich oszukano, nie doceniono ich pracy, poświęcenia, a ostatecznie po prostu o nich zapomniano. Czy teraz można coś zrobić z tym żalem? Twoja książka jest na pewno dobrym początkiem łagodzenia go, ale czy on może kiedyś zniknąć?**

Pewne rzeczy są nieodwracalne, bo czas minął i to, w jaki sposób byli traktowani zaraz po przyjeździe przez komunistyczną władzę, to, z jakimi warunkami musieli się mierzyć – to doświadczenia, których nie da się wymazać. Natomiast na pewno istnieje wiele sposobów, aby zmniejszyć to poczucie żalu. Tym bardziej, że reemigranci wiele nie chcą. Jak mówi część moich bohaterów, na przykład małżonkowie na początku książki – oni nie chcą pomników, nie chcą tablic, marzy im się tylko, żeby raz kiedyś powiedzieć głośno, że byli również reemigranci z zachodu, że był taki epizod w historii i to wystarczy.

Takie instytucjonalne upamiętnienie też byłoby dobrym pomysłem i nie musi to być nic wielkiego – jeśli mamy jakieś miejskie muzeum i w tym mieście byli reemigranci, to wystarczy dodać jedną plakietkę, jedno zdjęcie, jeden eksponat, który dołoży kamyczek do opowieści o danym mieście. Pewna część żalu koi się również sama. Żal związany z tęsknotą zmniejszył się trochę wraz z otwarciem granic, bo dla reemigrantów możliwość wyjazdu do Francji, posiadania kontaktu z Francją ma ogromne znaczenie. Jedna z moich bohaterek pojechała po 1989 roku pierwszy raz po 40 latach do Francji i było to dla niej niezwykle emocjonujące przeżycie.





Dom w Wałbrzychu, którego połowę zajęła rodzina Aleksandry Suławy po przyjeździe do Polski. Zdjęcie z archiwum autorki.



Dziadek Aleksandry Suławy w Haillicourt we Francji w latach 90. Zdjęcie z archiwum autorki.

[Porozmawiajmy teraz trochę o być może „najbardziej francuskim Polaku”, czyli o Edwardzie Gierku.](#)

Myślę, że bardzo by się ucieszył z tego określenia.

[Być może rzeczywiście to określenie połączonałoby jego ego. W swoim reportażu wspominasz o nim i chciałam dopytać, czy myślisz, że rzeczywiście to doświadczenie emigracji i pracy za granicą wpłynęło na jego poglądy i sprawiło, że był trochę inny niż jego towarzysze w partii?](#) Nie będąc ani politolożką ani historyczką, nie pokuszę się o analizę źródeł i przebiegu jego politycznej drogi. Jednak jako reportażystka mogę pomyśleć o nim jako o człowieku, o bohaterze pewnej historii. I przyjmując taką perspektywę, wydaje mi się, że owszem, że lata spędzone we Francji musiały zostawić w nim wyraźny ślad. Gierek wyjechał do Francji jako nastolatek. Zaczął tam pracować, wszedł do polityki i ruchu robotniczego, a za swoje zaangażowanie został ukarany ekspulsją – przymusowym wydalaniem do Polski.

Potem, nie mogąc już wrócić do Francji, wyjechał wraz z żoną do Belgii, gdzie kontynuował polityczną karierę. Kontakt z francuskim ruchem robotniczym musiał być dla niego doświadczeniem formacyjnym. Pamięć o „francuskim epizodzie” w mojej opinii wpłynęła też na jego podejście do zachodniej Europy – bardziej otwarte, swobodne, jak na owe czasy i kraje bloku, wyjątkowe. Podejrzewam, że w kontaktach z Zachodem miał też mniej kompleksów niż jego partyjni koledzy, choćby dlatego, że świetnie władał językiem francuskim.

[Zderzenie twoich bohaterów z polską polityką i władzą jest bardzo interesujące. Reemigranci, pomijając już Gierka, wrócili z Francji, gdzie polityka, kultura debaty czy strajkowania była inna. Bycie we francuskich związkach zawodowych nauczyło Polaków, jak dochodzić swoich praw. Zderzenie z komunizmem musiało być przeżyciem szokującym.](#)

To był dysonans poznawczy. Widać to doskonale po Walerii, mamie Liany, ona jest postacią, która niesie tę opowieść o zderzeniu człowieka z polityką. Dla ludzi, którzy mieszkali we Francji, komunizm był po prostu walką o godne życie robotnika, o bezpieczną i uczciwie wynagradzaną pracę, zabezpieczenie socjalne i przede wszystkim nie był reżimem. Był normalną opcją polityczną, na którą można było zagłosować, ale można było też zagłosować na inną partię i nikt nikomu nie robił z tego powodu problemów. Natomiast w Polsce spotkali się z zupełnie innym wyznacznikiem komunizmu – opresyjnym reżimem, gdzie trzeba było się z władzą układać na bardzo dziwaczne sposoby,

na które oni się nie zgadzali. Stąd właśnie brały się te manifestacyjne rezygnacje z członkostwa w partii, publiczne zwracanie legitymacji, o których opowiada część z moich bohaterów.

Myślę, że to rozczarowanie wiązało się też z żalem, bo wiedza, z którą przybyli, i doświadczenie, które nabyli na przykład w kwestii działania związków zawodowych, zostały zlekceważone przez ich ojczyznę. Polacy we Francji doświadczyli społeczeństwa obywatelskiego, którego po powrocie zostali pozbawieni, bo nie było żadnego społeczeństwa obywatelskiego w Polsce. Z tego francuskiego doświadczenia brały się też pewne działania i decyzje, które przez polskich sąsiadów czy kolegów były źle odbierane, a nawet poczytywane jako bratanie się z władzą. Dla reemigrantów praca na rzecz swojego osiedla i miasta, to były zwykłe, codzienne aktywności. W Polsce nie można było zrobić tego samemu, bo reżym mają to do siebie, że zagospodarowują każdą oddolną inicjatywę. Dlatego ludziom często trudno było zrozumieć, dlaczego „Francuzi” biorą na przykład udział w czynach społecznych. Tymczasem ich napędzała chęć pracy dla dobra ogółu. Motywacje „Francuzów” były niejednokrotnie niezrozumiałe dla obywateli komunistycznej Polski, a przez to błędnie interpretowane.

[To była kolejna cegiełka dołożona do ich rozgoryczenia – wrócili z potencjałem, który nie został wykorzystany, a na dodatek, gdy sami próbowali coś zrobić wbrew powszechnemu marazmowi i niechęci, to mieli problemy. Ich sytuacja nie była łatwa.](#)

Nie była łatwa. W ogóle te dwa pokolenia ludzi, nieważne, czy byli reemigrantami, czy nie, zostały ciężko doświadczane przez historię. Słuchając ich opowieści, byłam naprawdę pełna podziwu, ile psychicznej i fizycznej siły może w sobie znaleźć człowiek, żeby mimo różnych zawirowań wielkiej polityki próbować złapać wodze swojego życia i mieć nad nim jakąkolwiek kontrolę. Ludzie starali się żyć tak, aby ich rodzinom było łatwiej – wszystko robiło się z motywacji „żeby dzieciom było lepiej”. Z drugiej jednak strony zależało im, aby choć w minimalnym stopniu być w zgodzie ze sobą i jakoś zaspokoić swoje emocjonalne potrzeby.

Tym, którzy w latach 20. i 30. wyjechali do Francji „za chlebem”, nie dziwię się, że chcieli wracać do ojczyzny. Decyzja o emigracji często była podejmowana z myślą, że „to tylko na chwilę”, „na rok”, „dorobimy się i wrócimy”. Tymczasem rok mijał, a oszczędności okazywały się niewielkie. Nie bardzo było też do czego wracać, bo w Polsce czekała na nich bieda, taka sama

jak ta, z której wyjechali. No to może jeszcze rok zostaniemy, może kolejny? A potem przyszedł wielki kryzys, a potem wielka wojna i ten pobyt we Francji przedłużył się właściwie w nieskończoność. Więc gdy trafiła się historyczna okazja zorganizowanego powrotu do Polski, to po prostu z niej skorzystali.

[Czy w jakikolwiek sposób, jeśli w ogóle, wpłynęła na ciebie i twoje wybory historia twojego dziadka. Czy Przyrodzicach nie parlować to próba zrozumienia siebie i swojej rodziny, czy raczej wynik twojej czystej ciekawości?](#)

Moim zdaniem to jest niezaprzeczalne, że losy naszych dziadków, naszych rodziców wpływają na nas. My jesteśmy ulepiani z tych ludzi, z ich doświadczeń, ich postaw. Mój dziadek zaraził mnie Francją bardzo skutecznie, chociaż wcale nie był osobą, która otwarcie i dużo mówiła o swoim rozdarciu. Był z pokolenia, które mało mówiło o emocjach i miało dość kiepski kontakt z dziećmi, więc generacyjna postawa plus charakter mojego dziadka sprawiły, że nie było między nami bardzo głębokich rozmów. Ale Francja u mojego dziadka manifestowała w się małych rzeczach – we wtrętach językowych, w nawykach żywieniowych.

Gdy nadszedł czas wyboru drugiego języka w szkole, to francuski był tak oczywisty, że nawet się nie zastanawiałam nad innymi opcjami. Byłam strasznie podniecona, że nareszcie nadszedł ten czas i z wielką radością podeszłam do nauki. Moi dziadkowie czasami rozmawiali ze sobą po francusku, bo moja babcia nauczyła się francuskiego, gdy zaczęła podejrzewać, że dziadek może zechcieć całą rodzinę przenieść do Francji. Babcia czytała mi francuskie bajki – książeczki, które otrzymywaliśmy w paczkach przysyłanych przez rodzinę. Dziadek pamiętał również o wszystkich francuskich świętach, nie celebrował ich, ale zawsze zaznaczał, że dziś jest święto. I była u nas w rodzinie jakaś taka anegdotycznie śmieszna wręcz słabość do Francji – jest mecz i gra Francja, więc będziemy kibicować, albo leci film w telewizji, którego akcja dzieje się w Paryżu, więc chodźcie dzieci, zobaczcie Paryż w telewizji. Zawsze jak były do wyboru dwa produkty, to brało się ten francuski.

Francja od zawsze była obecna w moim życiu, dlatego cieszę się, że coraz więcej mówi się o reemigracji z Francji, bo to kawał historii wart opowiedzenia. Teraz Muzeum Stara Kopalnia w Wałbrzychu pracuje nad bardzo ciekawym projektem – zbierają opowieści, tworząc mapę miejsc związanych z reemigrantami, zgromadzony materiał posłuży też do organizacji wystawy, a efekty projektu staną się częścią powstającego właśnie Muzeum Wałbrzyszan. To są takie inicjatywy, które bardzo cieszą.

» [Spotkanie z Aleksandrą Suławą prowadziła Małgorzata Muraszko. Na polski język migowy tłumaczyli Agnieszka Bastrzyk i Tomasz Olender. Spotkanie można obejrzeć na Kanale Goyki 3 na YouTube, natomiast zapis audio w formie podcastu można odsłuchać na Kanale Goyki 3 na Spotify.](#)

# Wieś znaczy wolność

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

**„Wieś może być zamkniętą społecznością, ale nie bardziej zamkniętą niż Göteborg. Na wsi jest po prostu mniej miejsc, w których można spotkać ludzi, i to jest duży problem” – mówi Marit Kapla, szwedzka pisarka, która swojej rodzinnej wiosce Osebol poświęciła kilkusetstronicową powieść *Osebol*.**

**Klaudia Czaboryk:** *Osebol* to polifoniczny portret wsi i jej mieszkańców. W czasie lektury uderzyła mnie wyjątkowość życia każdego mieszkańca wioski. Żadna z historii się nie powtarza, chociaż są one dość podobne: łączy je miejsce, to samo zdarzenie, ci sami sąsiedzi. Czy możemy traktować twoją książkę jako hołd dla zwykłego człowieka?

**Marit Kapla:** Można powiedzieć, że jest to hołd dla zwykłego człowieka, choć pisząc, nie myślałam o tym w ten sposób. Chciałam pokazać, że życie i ludzie na wsi są tak samo interesujący i różnorodni jak w mieście. Ogólnie uważam, że każde życie jest wyjątkowe i ważne.

Uderzająca w twojej książce jest również wierszowana forma. Czy poezja może dodać nieco szlachetności wiejskim krajobrazom?

Moim zamiarem było znalezienie najlepszego sposobu na opisanie mojej wioski, chciałam znaleźć najlepszą formę dla książki. Dużą inspiracją była dla mnie białoruska pisarka Swietłana Aleksijewicz, tylko że ona pisze prozą, a ja uznałam, że bardziej odpowiada mi forma wiersza. Kiedy skondensowałam wywiady, zachowałam to, co uznałam za najważniejsze z wypowiedzi moich rozmówców i przedstawiłam je w formie wiersza, miałam wrażenie, że czytelnik wyraźniej zobaczy słowa, lepiej usłyszy ich znaczenie. Forma wiersza była środkiem użytym do podkreślenia pewnych rzeczy, które powinny być podkreślone. Czytelnikom pozostawiam stwierdzenie, czy jest to poezja, czy nie.

Być może przez ten poetycki zapis znalezienie gatunku dla twojej książki jest trudne. Natknęłam się na następujące określenia używane do opisania *Osebolu* – reportaż, reportaż historyczny, powieść, a nawet poezja. Powiedziałabyś, że twoja książka to epos lub poezja epicka? *Osebol* spełnia większość wymogów eposu, może poza jednym – nie ma w nim idealizacji.

Sama również sprawdziłam znaczenie eposu i z tego, co wyczytałam, moja książka kwalifikuje się jako epos. Zgadza się jednak z tobą – nie chciałam idealizować życia w *Osebolu* ani ludzi. Jestem bardzo przeciwna stereotypizacji wsi i mówieniu, że ludzie na wsi są bardziej autentyczni. Nie wierzę w takie kategoryzacje.

Chciałam pokazać, że ludzie są dokładnie tacy sami – na wsi, w Göteborgu, gdzie teraz mieszkam, i w stolicach, takich jak Sztokholm czy Londyn, Paryż, Warszawa. Ludzie są ludźmi wszędzie. Po napisaniu *Osebolu* odkryłam, że ta książka to nie tyle portret wsi, co portret tego, jak świat wygląda ze wsi. Jest to więc spojrzenie na otaczający świat z punktu widzenia wioski.



Spotkanie z Marit Kaplą, fot. Bogna Kociumbas-Kos

Powiedziałaś, że chcesz pokazać, że ludzie na wsi są tacy sami jak w mieście. W Polsce wciąż można spotkać się z myśleniem, że wieś jest czymś gorszym, nieco zacofanym, chociaż zaobserwować można trend przenoszenia się z miast na wiejskie przedmieścia dużych miast. Jak postrzegana jest wieś w Szwecji?

Patrząc na obszary wiejskie, trzeba zdać sobie sprawę, że istnieją różne ich rodzaje. Wiejskie przedmieścia, które opisałaś, wygrywają również w Szwecji, ponieważ ich populacja rośnie – widać, że ludzie zarówno z centrów miast, jak i ze wsi przenoszą się na te wiejskie przedmieścia.

Styszałam też, jak naukowcy mówili o wsi w liczbie mnogiej, wyjaśniając, że istnieje wiele różnych rodzajów obszarów wiejskich. To jeden z powodów, dla których chciałam napisać książkę o mojej wsi. Jest coraz więcej dyskusji o tym, co wieś straciła na rzecz miasta, o tym, że trudniej jest żyć na wsi, że zamykane są sklepy, szkoły i usługi, nawet te, za które płacimy podatki. W mieście jest więcej pieniędzy i pracy, życie w mieście jest po prostu wygodniejsze.

Właściwie już częściowo odpowiedziałaś na moje kolejne pytanie – czy zmieniły się warunki życia na wsi, a jeśli tak, to, czy zmieniły się na lepsze?

Myślę, że zmiany na wsi trwają od około 200 lat – urbanizacja rozpoczęła się wraz z industrializacją, ludzie stopniowo przenosili się ze wsi do pracy w dużych fabrykach. Ta zmiana trwa więc od bardzo dawna.

W mojej wiosce *Osebolu*, kiedy byłam dzieckiem, mogłam chodzić do szkoły do 9 klasy, a teraz w tym samym miejscu można chodzić do szkoły tylko do 5 klasy. I oczywiście może to być kluczowy czynnik dla rodziny, która rozważa przeprowadzkę, ponieważ wiedzą, że od 11 lub 12 roku życia ich dzieci będą musiały podróżować około 40 km w jedną stronę – rano do szkoły, a wieczorem z powrotem do domu. Trudno więc powiedzieć, jak sytuacja zmieniła się na lepsze, myślę, że nadal zmienia się na gorsze. Ale myślę też, że nie jest sprawiedliwe widzieć wszystko w czarnych barwach, ponieważ na wsi zachodzą również bardzo interesujące zmiany. Do mojej wioski przeprowadzają się ludzie z innych krajów – mamy rodzinę z Polski, z Węgier, jedną kobietę z USA,

są też domy kupowane przez ludzi z Holandii, Niemiec, Danii. Ludzie aktywnie poszukują innego rodzaju życia niż miejskie życie w Europie.

Jak na taką małą, może nawet odizolowaną, wiejską społeczność wpływają globalne kwestie, takie jak na przykład migracja? Czy migranci są tam akceptowani, czy też trudno jest im stać się częścią tak zamkniętej społeczności?

Myślę, że cyfryzacja zmieniła świat, więc ludzie na wsi nie są tak naprawdę odizolowani, jeśli kiedykolwiek byli. Moi przyjaciele z *Osebolu*, ludzie z książki, są aktywni online tak jak wszyscy inni. W dzisiejszych czasach żyjemy zarówno w swojej rzeczywistej, jak i cyfrowej społeczności, więc myślę, że nie jest prawdą twierdzenie, że ludzie na wsi są odizolowani. Choć, jak powiedziałam, fizycznie muszą jeździć dłużej do szkół, sklepów i pracy.

Nie mieszkam już w *Osebolu*, więc nie mogę wypowiedzieć się w imieniu mieszkańców wioski, mogę tylko zacytować to, co mi powiedzieli i co jest wydrukowane w książce. Czytając, można zauważyć, jak bardzo różne poglądy mają ludzie na temat migrantów czy migracji i jest to typowe dla każdego miejsca w Szwecji – Sztokholmu czy *Osebolu*. W książce przedstawione są różne poglądy, a także różne motywacje dla tych poglądów. Myślę, że wieś może być zamkniętą społecznością, ale nie bardziej zamkniętą niż Göteborg. Na wsi jest po prostu mniej miejsc, w których można spotkać ludzi, i to jest duży problem. Kiedy byłam młoda, było tam więcej sklepów, restauracji, teraz miejsc, w których można spontanicznie spotkać ludzi, ubywa. I to z tego powodu wieś może wydawać się bardziej zamknięta. Myślę jednak, że możesz być tak samo samotna, mieszkając na wsi, jak w dużym mieście.

Jakie możliwości mogą mieć obszary wiejskie w przyszłości? Co można zrobić i czy w ogóle jest możliwe, aby wieś była bardziej doceniana?

Myślę, że kraje i narody powinny przeznaczać więcej pieniędzy na infrastrukturę, transport publiczny, aby łatwiej było podróżować na wieś i ją odkrywać. To ułatwiłoby też życie ludziom, którzy już tam mieszkają. Ciągle zauważam,



jak trudno jest podróżować autobusem lub pociągiem, nawet chodzenie i jazda na rowerze na obszarach wiejskich jest trudniejsza, ponieważ są tam szerokie drogi i nie ma ścieżek rowerowych. Więcej pieniędzy przeznaczanych na transport publiczny, a także tworzenie chodników i ścieżek rowerowych, byłoby wielką rzeczą, która uczyniłaby wieś bardziej dostępną dla wszystkich.

A uczynienie wsi dostępną mogłoby wiele zmienić, ponieważ jest coś naprawdę wyjątkowego, co wieś może zaoferować, czyli wolność. Na wsi można mieć jej o wiele więcej. Przeprowadzając wywiady, zauważyłam, że ludzie, z którymi rozmawiałam, naprawdę lubią mieszkać w Osebolu, i to jest moje przypuszczenie, ale wierzę, że to z powodu wolności. Mimo że życie na wsi wiąże się z wieloma wyzwaniem, to oferuje więcej przestrzeni. W bardzo zaludnionych obszarach osobiście czuję, że moja wolność jest ograniczona, a przestrzeń jest skomercjalizowana w sposób, który nie występuje na wsi – w Göteborgu gdziekolwiek spojrzysz, widzisz komercyjne komunikaty. Na wsi tego nie ma. Poza tym w mieście każdy metr kwadratowy jest drogi. Mieszkam w Göteborgu i podoba mi się tam, choć teraz mam zbyt mały pokój do pracy, ale to wszystko, na co mnie stać. Gdybym mieszkała na wsi, prawdopodobnie byłabym w stanie znaleźć większe, lepsze miejsce do pracy.

[Myślę, że jest to powszechny problem w Europie, a może nawet na całym świecie – dobry transport publiczny mógłby wiele zmienić i sprawić, że życie w małej wsi byłoby wygodne, ponieważ nie byłoby problemu z dotarciem do szkoły lub pracy, a to sprawiłoby, że miasta byłyby mniej zaludnione i tańsze. Pomyślałam, że może gdyby politycy mieszkali w miejscu, z którego trudno się gdziekolwiek dostać, o ile nie dysponujesz samochodem, może faktycznie zwróciliby większą uwagę na nadanie priorytetu transportowi publicznemu.](#)

Niestety, myślę, że politycy za długo słuchali bardzo bogatych koncernów samochodowych i naftowych i to jest część wyjaśnienia, dlaczego samochody i drogi są traktowane priorytetowo zamiast transportu publicznego.

[Pisałaś o miejscu, w którym się wychowałaś, więc domyślałam się, że mogło to być dla ciebie emocjonalne i osobiste doświadczenie. Jak powiedziałaś na początku, chciałaś pokazać swoją rodzinną wieś i jej mieszkańców w najlepszy możliwy sposób. Czy było dla ciebie ważne, aby używać dialektu z Värmland i nie zamieniać go na standardowy język szwedzki?](#)

Tak, to było dla mnie ważne, myślę, że ogólnie to, jak ludzie mówią, jest bardzo interesujące. W mojej książce tak naprawdę ważne jest nie tylko to, co ludzie mówią, ale także, jak to mówią – w jaki sposób to formułują, jak wymawiają słowa i czy mówią z akcentem. Ja osobiście nie mówię z oryginalnym akcentem, ponieważ moi rodzice pochodzili z innych części Szwecji, więc byliśmy nowymi przybyszami, dlatego byłam bardzo wyczulona na akcent. Moja rodzina opuściła Osebol w 2007 roku i kiedy wróciłam w 2016 roku, aby przeprowadzić wywiady, byłam bardzo szczęśliwa, że ponownie spotkałam się z oryginalnym akcentem i dialektem. Oczywiście nie wszyscy w książce mówią z tym akcentem, ponieważ mieszkają tam teraz ludzie z innych krajów, a także z innych części Szwecji, ale wielu mieszkańców wioski mówi z niesamowitym akcentem. To sprawiło mi ogromną radością,

ponieważ lubię ten sposób mówienia. Niemniej jednak nie chciałam, by dialekt czy akcent przeszkadzał czytelnikom w zrozumieniu tekstu, nie chciałam, by wyglądało to zbyt dziwnie. Na początku nie chciałam używać żadnego dialektu, ale ostatecznie zachowałam tu i tam specyficzną kolejność słów i kilka wyrażenia, które nie są standardowym szwedzkim.

[Porozmawiajmy trochę więcej o procesie pisania Osebolu. Przeprowadzałaś wywiady w 2016 i 2017 roku, a następnie pracowałaś nad zebranymi materiałami. To było wymagające, inspirujące? Czulaś, że możesz pokazać wieś w nowym świetle?](#)

Wywiady przyniosły mi wiele radości. Znałam wielu mieszkańców wioski, ale niektórzy z nich byli dla mnie nowi, ponieważ przeprowadzili się do Osebolu po moim wyjeździe. Niektóre osoby w książce to moje dawne opiekunki, a jedna z nich jest również moją byłą pracodawczynią i jednocześnie matką mojej koleżanki z klasy. Było więc naprawdę fantastycznie spotkać je ponownie i spędzić czas w mojej wiosce, uzyskać do niej znowu dostęp, mimo że moja rodzina nie ma tam już domu. Byłam również bardzo szczęśliwa, ponieważ czulałam, że każdy wywiad zawiera pewnego rodzaju skarb, który chciałam przedstawić ludziom jako naprawdę drogocenny.

[Może dlatego lektura twojej książki jest jak rozmowa z kimś, kogo znasz, a nie jak wywiad z pytaniami i odpowiedziami. W książce są przedstawione monologi twoich rozmówców i jest bardzo mało śladów ciebie, ukryłaś się. Czy takie było zamierzenie od samego początku, czy dopiero później podczas pracy nad zgromadzonymi materiałami zdecydowałaś, że chcesz zostawić przestrzeń dla mieszkańców wsi?](#)

Wpadłam na pomysł, żeby zrobić tak jak Aleksijewicz, ona też się ukrywa. Pomyślałam, że byłoby o wiele lepiej, gdybym usunęła własne pytania. Chciałam stworzyć spotkanie między czytelnikiem a osobą, z którą przeprowadzałam wywiad – nie chciałam stać im na drodze. Zachowałam kilka rzeczy, ale potem je również wycięłam, chciałam, żeby czytelnicy czuli, że ci ludzie rozmawiają ze mną, ale także z nimi.

[Zgodziłabyś się ze stwierdzeniem, że wieś może być postrzegana zarówno jako idylliczne miejsce, jak i więzienie? Kiedy patrzymy na wieś z zewnątrz, widzimy piękne miejsca, naturę, spokojnych, szczęśliwych ludzi, ale jeśli przyjrzymy się jej trochę bliżej, możemy zobaczyć, że nie jest tak idealnie.](#)

Myślę, że można tak powiedzieć, ale życie w mieście również może być idylliczne lub przypominać więzienie. Można tak powiedzieć o życiu w ogóle. Ale jedną z części odpowiedzi jest to, że nie mieszkam już w Osebolu, więc rozumiem, co masz na myśli, mówiąc o uwięzieniu na wsi i znalezieniu wolności w mieście. Mieszkam w Göteborgu, drugim co do wielkości mieście w Szwecji, zdecydowałam się tam zamieszkać, ponieważ lubię być blisko teatru, opery, wystaw sztuki – dla mnie ten rodzaj życia jest bardzo ważny i dlatego zdecydowałam się opuścić Osebol. Wróciłam tam po studiach i pracowałam jako reporterka w miejscu, gdzie chodziłam do liceum, ale znowu wyjechałam.

Myślę, że dla wsi wyzwaniem jest oferowanie pewnych rodzajów aktywności, takich jak kultura czy

sport, i jeśli jesteś nimi zainteresowana, musisz wyjechać. Jeśli interesuje cię polowanie, to Osebol jest idealny. W prowincji Värmland są oczywiście ludzie, którzy robią świetne rzeczy z kulturą, a latem odbywa się tam wiele interesujących wydarzeń i prawdopodobnie znaczą one więcej dla ludzi tam mieszkających niż te same wydarzenia dla ludzi mieszkających w Göteborgu.

[Może ludzie opuszczają małe wioski nie dlatego, że chcą, ale dlatego, że muszą – chcą zostać, ponieważ kochają to miejsce, ludzi, przyrodę, ale jednocześnie czują, że nie ma tam nic więcej?](#)

Mam przyjaciółkę, która powiedziała mi, że na wsi naprawdę trudno jest być singlem, ponieważ trudno jest tam poznać nowych ludzi. Myślę jednak, że wiele osób jest silnie związanych z więcej niż jednym miejscem. Podczas pandemii stało się oczywiste, że ludzie mogą mieszkać w różnych miejscach – mieli domki letniskowe na wsi, przebywali tam i cieszyli się tym. Myślę, że to bardzo typowe dla ludzi, że zadajemy sobie pytanie, gdzie powinniśmy mieszkać, i mamy problemy z odpowiedzią.

Jeśli chodzi o to, co traci wieś, osobiście uważam, że jest to dochód z podatków, ponieważ podatki można płacić tylko w jednym miejscu. Wiele osób latem mieszka w małych wioskach w Szwecji, więc może można by wprowadzić pewne zmiany, które pozwoliłyby im płacić tam podatki, aby małe wioski mogły się rozwijać i miały bardziej stabilną gospodarkę? Wierzę, że są sposoby na to, by wieś czerpała więcej korzyści z ludzi spędzających w niej czas.

[Czy uważasz, że twoja książka wpłynęła jakoś na obraz wsi w Szwecji, ale nie tylko tam, i zmusiła ludzi do zastanowienia się nad możliwościami, jakie oferuje wieś?](#)

Myślę, że nie rozpoczęłam debaty o wsi, ale jestem jej częścią. Moja książka została przetłumaczona na inne języki i stało się dla mnie jasne, że każdy naród ma swoją własną dyskusję na temat wsi. Na przykład w Hiszpanii istnieje wyrażenie „wyludniona Hiszpania” odnoszące się do tego, że 70% Hiszpanii jest obecnie bardzo słabo zaludnione, a ludzie mieszkają tylko na 30% na wybrzeżu i w Madrycie. To temat wielkiej dyskusji politycznej w Hiszpanii. W Wielkiej Brytanii mówi się natomiast o miasteczkach, o tym, jak umierają z powodu cyfryzacji – ludzie kupują rzeczy online i nie chodzą do sklepów, więc centra umierają. Tak więc każdy kraj ma swoją własną dyskusję.

[Czy jest jakaś wiadomość, którą chciałaś przekazać czytelnikom?](#)

Na pewno chciałam pokazać, że rzeczy nie zawsze są takie, jak myślimy. Nigdy nie powinnaś zakładać, że z góry wiesz coś o kimś lub o czymś, ponieważ zawsze jest więcej do odkrycia. Prawie za każdym razem, gdy przeprowadzałam z kimś wywiad, miałam takie momenty wow. Ludzie są tak fascynujący i zaskakujący.

[» Spotkanie z Marit Kapłą prowadziła Justyna Czechowska, na i z języka szwedzkiego tłumaczyli Małgorzata Grabarczyk i Jacek Warg, na polski język migowy tłumaczyli Michał Drzewek i Kamila Skalska. Spotkanie można obejrzeć na Kanale Goyki 3 na YouTube oraz odsłuchać w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3.](#)



Spotkanie z Laurą Lindstedt, fot. Bogna Kociumbas-Kos

## Z pokorą wobec śmierci

⇒ **Anna Nicz**

**„Jako autorka chciałam znaleźć się na tym samym skraju niezrozumienia, na którym znalazły się Kobiety” – mówi o swoich bohaterkach Laura Lindstedt. Fińska pisarka stworzyła nieoczywistą opowieść o umieraniu i stopniowym akceptowaniu tego stanu.**

Pusta przestrzeń. Nie wiadomo, gdzie jest ani dlaczego jest. Nie jest w niej miękko, nie jest też twardo. Trafia tam siedem kobiet. Dzieli je wszystko. Łączy to, że nie żyją.

*Oneiron. Fantazja o kilku sekundach po śmierci*, powieść Laury Lindstedt, jednej z najbardziej znanych i utalentowanych współczesnych fińskich autorek, prowokuje i zamiast dawać odpowiedzi na pytania – zadaje kolejne. „Proces pisania był bardzo długi. Pisałam tę książkę przez osiem lat” – mówiła pisarka podczas spotkania prowadzonego przez Aleksandrę Zbroję.

Czytelnicy i czytelniczki opowieści Lindstedt razem z siedmioma kobietami zastanawiają się nad tym, dlaczego tam się znalazły i skąd w ogóle wzięta się ta dziwna przestrzeń. „Biała przestrzeń jest również metaforą białego papieru, metaforą pisania” – wyjaśniała fińska pisarka. „Gdy zaczynamy pisać, wychodzimy od zera, zaczynamy z pustki. Mamy ze sobą historię literatury i ładunek naszej wyobraźni. Musimy coś napisać na tym papierze. Na tym polega magia. Kobiety próbują tam budować swoją opowieść. Nie mają wspólnego języka, pochodzą z różnych krajów i kultur” – mówiła.

### Skraj obcości

Podczas pisania *Oneironu* ważne dla Laury Lindstedt było to, by żadna z bohaterek książki nie pochodziła

z Finlandii. „Jako autorka chciałam znaleźć się na tym samym skraju niezrozumienia, na którym znalazły się kobiety. Chciałam też być na skraju tej obcości, walczyć o zrozumienie” – przyznała.

Autorka nie czerpała bezpośrednich inspiracji z innych dzieł kultury. Jednak jest moment, w którym pojawia się pewne nawiązanie. „Kobiety zaczynają odczuwać brak bezpieczeństwa, potrzebują domu, więc zdejmują wszystko, co mają na sobie, wszystkie ubrania i robią z nich zarys domu. W *Dogville* Larsa von Triera też pojawia się okrąg, który symbolizuje dom. Okrąg nie jest tu zatem przypadkowy”. Przypadkowa nie jest także liczba siedem. To nawiązanie do *Siedmiu braci*, słynnej powieści fińskiego pisarza Aleksisa Kivi. „Poza tym siódemka w wielu kulturach jest liczbą magiczną i chciałam wyjść od tego” – mówiła Lindstedt.

Gdyby w opisywanej przestrzeni znalazła się inna liczba kobiet, którąś lub kilka z nich zastąpiłoby mężczyźni, dynamika byłaby inna. A to zupełnie nie interesowało autorki.

„Chciałam spojrzeć przez pryzmat grupy kobiet, które znajdują się w różnych kontekstach, mają różne wykształcenie, pochodzą z różnych miejsc. Wspominają mężczyzn pojawiających się w ich życiu, którzy byli agresywni, nieobecni” – wyjaśniała pisarka. Jak dodała, kobiety są dla siebie nawzajem opiekunkami swoich śmierci.

### Ars moriendi

Laury Lindstedt nie interesowały również religijne teorie na temat tego, co dzieje się po śmierci człowieka. „Interesowało mnie to, co śmierć powoduje dla stworzenia, które jest świadome umierania; jaką ranę w nim tworzy. Śmierć będzie losem nas wszystkich, a jest czymś nie do zrozumienia”.

Pisarka nie chciała także ustosunkowywać się do tego, co może dziać się po drugiej stronie. Jak podkreślała, chodzi raczej o ars moriendi: „Czyli to, jak możemy okazać pokorę w stosunku do faktu śmierci”.

» Spotkanie z Laurą Lindstedt prowadziła Aleksandra Zbroja. Z i na język fiński tłumaczyli Kamil Krzywicki i Bolesław Ludwiczak. Na polski język migowy tłumaczyli Michał Drzewek i Kamila Skalska. Spotkanie można obejrzeć na kanale Goyki 3 na YouTube, natomiast zapis audio w formie podcastu można odsłuchać na kanale Goyki 3 na Spotify.

„*Interesowało mnie to, co śmierć powoduje dla stworzenia, które jest świadome umierania; jaką ranę w nim tworzy. Śmierć będzie losem nas wszystkich, a jest czymś nie do zrozumienia.*



# Porozmawiajmy o młodych

⇒ [Małgorzata Muraszko](#)

**Festiwal literacki jest po to, żeby rozmawiać o literaturze. Każdej literaturze. Także literaturze tworzonej przez i pisanej dla młodzieży, zwanej też *young adult*.**

W tym roku na festiwalu Literacki Sopot do cyklu spotkań z gośćmi i gościniami z Krajów bałtyckich, spotkań Michała Nogasia w parku, pasma Debiuty i Powroty czy do Literackiego dla dzieci dołączyło zupełnie nowe – o literaturze dla młodzieży, *young adult*.

Jak wynika z raportu czytelnictwa Biblioteki Narodowej za rok 2023, wśród 43% czytających Polek i Polaków większość stanowią osoby młode (15–18 lat), a czytelnicy i czytelniczki o nowościach dowiadują się z mediów społecznościowych. Pisarki takie jak Weronika Anna Marczak, Weronika Ancerowicz, Katarzyna Barlińska (Pizgacz), Aleksandra Negrońska czy Aleksandra Kondraciuk można znaleźć na listach bestsellerów. Chociaż dla wielu czytelniczek i czytelników, bywalców festiwali i imprez literackich, nazwiska te mogą brzmieć obco, to właśnie do tych pisarek ustawiają się największe kolejki.

Dlaczego więc festiwal literacki, jakim jest Literacki Sopot, miałyby odwracać wzrok od tego zjawiska? Dobrze, że młodzi ludzie piszą i czytają. I na Literackim Sopocie jest miejsce, żeby o tym porozmawiać. A spotkanie z twórcami bookmediów i młodymi pisarzami i pisarkami przyciągnęło czytelników w różnym wieku. Nie tylko tych, którzy po te książki sięgają.

## Bookmedia to też media

Kuratkorką pasma Young Adult była promotorka czytelnictwa, która od lat działa w bookmediach – Karolina Kozłowska, Karateusz. Aktywnie działa na YouTube i Instagramie, gdzie opowiada o książkach, prowadzi także podcast.

Pierwszego dnia festiwalu uczestniczkom i uczestnikom warsztatów mówiła, jak stawiać pierwsze kroki w bookmediach, a kolejnego dnia w parku na Goyki poprowadziła rozmowę o blaskach i cieniach pracy w bookmediach. Jej gośćmi byli Marcin Okoniewski, autor bloga i kanałów na YouTube i Instagramie Okoń w Sieci, nominowany w kategorii Człowiek Książki 2023 w plebiscybie [lubimyczytać.pl](#); booktoker i bookstagramer Antoni Matusiak ([antek\\_czyta](#)) oraz promotorka

czytelnictwa, która działa na Bookstagramie i Booktubie Magdalena Miękińska (Get Booky).

Co mówili? Że praca w mediach społecznościowych, chociaż nie wszyscy wydają się traktować ją poważnie, jest pracą jak każda inna, wymaga takiej samej wiedzy i przygotowania jak praca krytyka. Opakowana jest tylko w inną formę. Taką, która jest w stanie lepiej dotrzeć do czytelników młodszych i zainteresować ich literaturą. „Są tacy, którzy piszą mi w komentarzach, że oglądają moje filmy, chociaż nie interesuje ich tematyka książek, o których opowiadają. Niektórzy po dwóch latach wracają i mówią, że przekonałem ich do lektury” – śmieje się Okoniewski. Czyli jest skuteczny.

## Które medium jest najlepsze?

Każde medium społecznościowe rządzi się swoimi zasadami. Jak mówi Okoniewski, widzowie z YouTube’a lubią regularność, zaplanowane serie, oglądają go jak telewizję; na Instagramie sprawdzają się krótkie i konkretne formy, zajawki odsyłające do dalszych treści na YouTube czy blogu, ta platforma jest też lepsza do budowania zaangażowanej społeczności. A na TikToku... Cóż, rozmówcy Kozłowskiej byli zgodni, że na tej platformie dominują treści krótkie i zabawne, a z książkami może być trudno się tam przebić. Nawet jeśli film będzie wiralem i obiegnie się lotem błyskawicy, to następnego dnia ludzie zachwycą się czymś innym. „Osobiście czekam na nową platformę społecznościową, na której będzie można mówić o książkach” – mówił Antek Matusiak.

Czy wystarczy czytać książki i ciekawie o nich opowiadać? To może być za mało. Praca w bookmediach wymaga zaangażowania, regularności, wypracowania swojego języka przekazu, formy. Kont i treści w mediach społecznościowych jest dużo, warto więc zawczasu mieć na siebie pomysły. „Ale kim ja jestem, żeby komuś zabraniać tworzyć? Sam tak zaczynałem. Nie miałem z kim rozmawiać o książkach, które mnie fascynują. Dopiero

później to się rozwinęło i chciałem mówić do coraz większej ilości osób” – mówił Musielak. „Niektórzy nie są aż tak kreatywni i kopiają, ale wtedy te konta nie są aż tak popularne. Gdy powielasz czyjś kontent, to nie jesteś oryginalny”.

Młodzi twórcy i twórczynie otwarcie mówili też o cieniach pracy w mediach społecznościowych i rozpoznawalności, jaka się z nią wiąże. Hejt z uwagi na wygląd, umniejszanie wiedzy, wyzywanie, wyśmiewanie, obrażanie są na porządku dziennym. I nie są to sytuacje łatwe. „Mogę wam to teraz powiedzieć, że kilka lat temu sprawę prześladowcy zgłosiłam na policję. Groził mi i bliskim” – mówiła Magdalena Miękińska. Ale są też miłe sytuacje: duże wsparcie, pozytywne komentarze i głosy wsparcia.

Na osoby działające w bookmediach i na literaturę *young adult* coraz śmiej się otwierają targi i festiwale literackie. I dobrze. Bo nieważne, co się czyta i jak się o tym opowiada, ważne, że się czyta w ogóle i młodzi ludzie są zainteresowani literaturą.

Gośćmi Kozłowskiej, którzy zajęli scenę w parku na Goyki, byli też autorzy i autorki literatury spod znaku YA. Maks Kuznowicz, autor *Bliźniaczego płomienia*, Karolina Barbrich, która napisała *Prosty sposób na zapomnienie*, i Natalia Klewicz, która ma na koncie książki *Czy to sen?* i *To nie był sen*, opowiadali o swojej pracy, inspiracjach, blaskach i cieniach pracy twórczej.

» [Debatę Jak zbudować społeczność w bookmediach? z udziałem Marcina Okoniewskiego, Antoniego Matusiaka i Magdaleny Miękińskiej prowadziła Karolina Kozłowska. Spotkanie na polski język migowy tłumaczyli Elżbieta i Paweł Żurawscy. Tę debatę oraz inne spotkania w cyklu Young Adult można obejrzeć na kanale Goyki 3 na YouTube oraz odsłuchać w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3.](#)

Debatę *Jak zbudować społeczność w bookmediach?*, fot. Bartosz Bańka



Redaktorka naczelna: Małgorzata Muraszko

Zespół redakcyjny: Magdalena Bojanowska, Klaudia Czaboryk, Filip Fierek, Justyna Grochal, Julia Kapała, Anna Nicz

Korekta: Agnieszka Kochanowska

Projekt graficzny i skład: Anita Wasik

Napisz do nas: [redakcja@literackisopot.pl](mailto:redakcja@literackisopot.pl)

Wszystkie materiały objęte są prawem autorskim. Przedruk lub kopiowanie całości lub fragmentów materiałów możliwy jest wyłącznie za wcześniejszą pisemną zgodą wydawcy – Goyki 3 Art Inkubatora.

